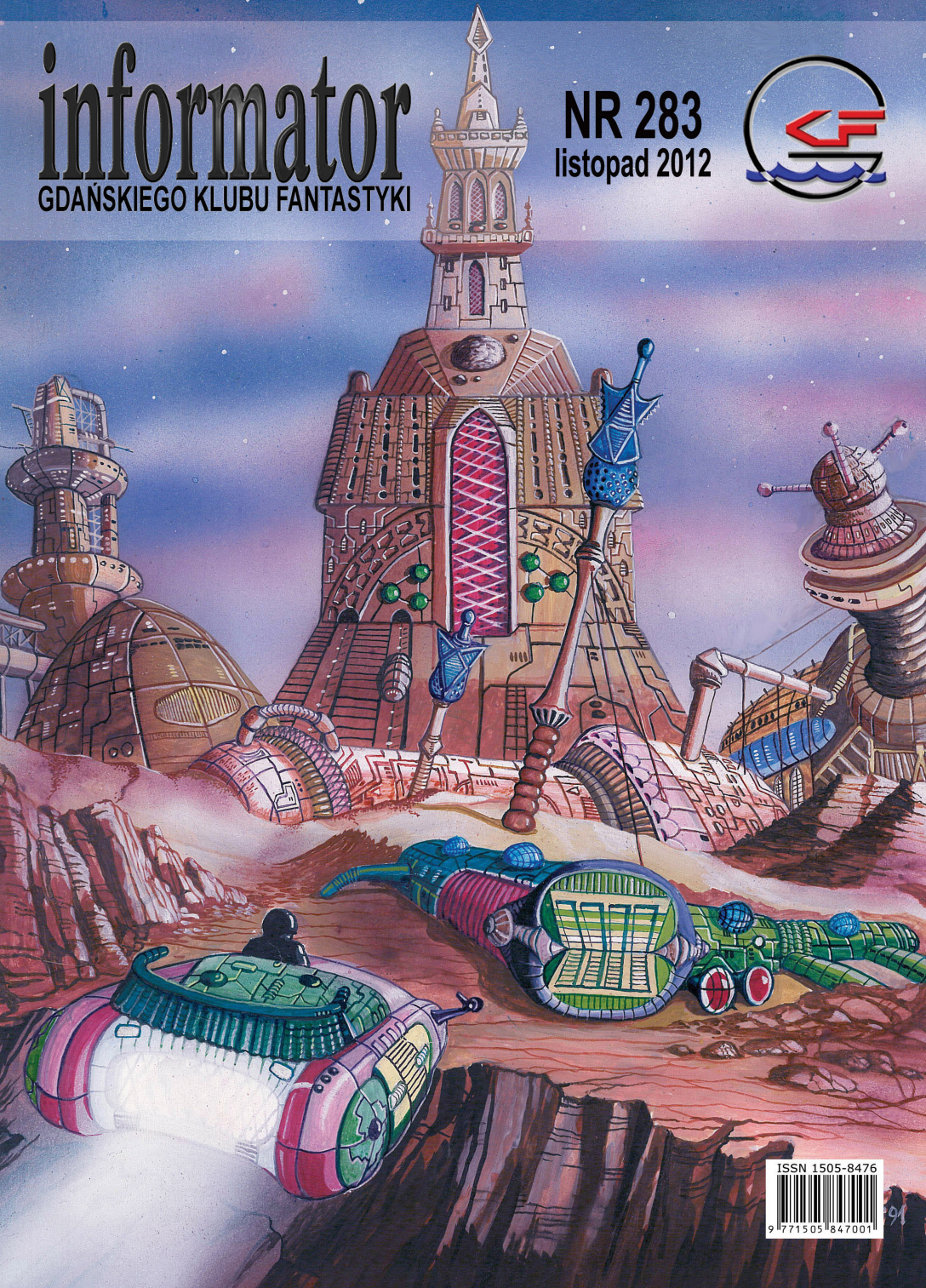


informato**r**

GDĄŃSKIEGO KLUBU FANTASTYKI

NR 283
listopad 2012



ISSN 1505-8476



9 771505 847001

WSTĘPNIAK PIRACKI

Ten listopadowy „Informator” jest ostatnim numerem, jaki zdąży ukazać się przed tegorocznym Nordconem, więc temat niniejszego wstępunika po prostu sam się nasunął.

Piraci oraz kowboje lub Indianie – to dawne dziecięce fascynacje. W baśni o przygodach Piotrusia Pana jeszcze widać je obie. Jednak opowieści o piratach zdechły szybciej niżli te o Dzikim Zachodzie.

Western był przez dekadę najpopularniejszym – mimo ograniczeń wynikających z konwencji – gatunkiem filmowym, niemalże symbolem kina. Potem nieuchronnie ewoluował; owa ewolucja stała się zresztą przyczyną najpierw rozkwitu i kontestacji kanonu, a potem jego nieuchronnego wyczerpania (choć do dziś trafi się czasem udany film w tej poetyce).

Powieści o piratach miały zdecydowanie mniej szczęścia i krótszy żywot. Już zresztą klasyczna *Wyspa Skarbów* Roberta Louisa Stevensona jest zarówno mistrzowską realizacją gatunku (tę z pozoru zgrzebną historię docenia się chyba bardziej za dorosłości niż w dzieciństwie!), jak i wyraźną polemiką z nim (przedstawieni w powieści piraci są jednak pospolitymi, acz barwnie naszkicowanymi, bandziorami).

O moich spotkaniach z Dzikim Zachodem mógłbym napisać długaśny artykuł – zarówno o filmach (niezliczone i różnorakie westery), jak też książkach (powieści Karola Maya i Wiesława Wernica oraz kilku innych autorów). O mych spotkaniach z piratami – znacznie mniej (rozmiar wstępunika wystarczy całkowicie).

Co do literatury. Gdzieś była to wspomniana *Wyspa Skarbów*, po raz pierwszy przeczytana w dzieciństwie i wtedy niedoceniona („za mała się działo”). Za to zachwyli mnie, przeczytany w jedną noc, *Kapitan Blood* Rafaela Sabatiniiego (byłem wtedy w wieku, gdy skomplikowanie perypetii było dla mnie synonimem jakości fabuły). Później byli to też nasi królewscy kaprzy (gdańska trylogia Franciszka Fenikowskiego). Pojawili się także nieco inni, bo XIX-wieczni, piraci – już całkowicie wybyczy romantyzmu (*Dzieci kapitana Granta* i *Tajemnicza wyspa Juliusza Verne'a*); podobnie zresztą morskich bandytów ukazał Alfred Szklarski bodajże w *Tomku wśród łowców głów*. Do świata Stevensona powróciłem już znacznie później, we współczesnym i udanym prequelu pt. *Przygody Bena Gunna* Ronalda Fredericka Delderfielda. Dodać tu też można piratów komiksowych: starożytnych pechowców z cyklu o *Asterixie* oraz międzyplanetarne feministki z *Kajtka i Koka* w *Kosmosie*.

Co do filmu. Obejrzany kiedyś w telewizyjnym Starym Kinie niemy *Czarny pirat* z Douglasem Fairbanksem (ponoć oryginalnie kolorowy; acz tylko na bazie czerwieni i zieleni – więc musiał wyglądać jak okładki przedwojennych czasopism). Nudnawy i nijaki (przynajmniej w mojej ówczesnej ocenie) *Karmazynowy pirat* z Burtem Lancasterem. A także dno zupełne: jakiś kretyński prymitywny i niedorobiony film *Pirat* obejrzany za licealnych czasów w którymś z warszawskich kin. I dla mnie zagwozdka największa: pechowi *Piraci* Romana Polańskiego. Film zrobiony przez mistrza. Widać w nim staranność; ba – wiele gagów (sceny na tratwie czy obiad ze szczura) jest rozpisanych niby równie precyzyjnie, jak w *Nieustraszonych zabójcach wampirów*; ale ja się w kinie roześmiałem jeden (słownie jeden!) raz: świt, lina, dwaj piraci, złoty tron... Tym większym (i niespodziewanym) fenomenem jest sukces obecnego cyklu *Piratów z Karaibów*. Przyznam zresztą uczciwie, iż z początku miałem nań długie zęby: jakoś nijak nie zachęcały mnie informacje z recenzji o wymieszaniu opowieści o piratach z opowieścią o upiorach. Dopiero potem musiałem przyznać, iż dołączenie do karaibskiego uniwersum także morskich legend było (obok kreacji Johnny'ego Deppa, Geoffreya Rusha oraz scen pojedynków godnych *Muszkietierów* Lestera) jednym z kluczy do sukcesu tego filmu; cóż, my nigdy, mimo dostępu do morza, nie byliśmy nacją żeglarzy (nawet Joseph Conrad pisał po angielsku!). Przypomnieć też należy *Hooka* Stevensa Spielberga oraz ekranizację *Wyspy Skarbów* z Christianem Bale'm i plejadą gwiazd.

Życzę Wam serdecznie stopy wody pod kilem na Nordconie – jeśli się nań wybieracie!

INFORMATOR GDAŃSKIEGO KLUBU FANTASTYKI

283 listopad 2012 r.

ZAWARTOŚĆ:

ŻYCIE KLUBU

Urodziny członków GKF 4

NORDCON 2012

Wieści, elementy programu 5

INFORMACJE

Nabytki biblioteki GKF 8

Zapowiedzi wydawnicze 9

Janusz Piszczek

Niusy 12

GALERY

Adam Szary 15

PUBLICYSTYKA

Zakazana planeta. Gra w statki 22

Commander John J. Adams

Półka z DVD. Lot, który nie przeszedł do historii 25

Andrzej Prószyński

Recenzje Karola 26

Karol Ginter

Okrucy Ogana. Korespondencja nr 36 30

Grzegorz Szczepaniak

Patrząc z ukosa (16) 33

Andrzej Prószyński

KOMIKS

Rozwiązanie zagadki kręgowych
zbożowych 40

Tomasz Mering



**GDAŃSKI KLUB
FANTASTYKI**

ADRES:

80-385 Gdańsk Przymorze
ul. Opolska 2

STRONA:

www.gkf.org.pl

KONTO BANKOWE:

PKO BP I O/Gdynia
52 1020 1853 0000 9902
0067 8359

ISSN 1505-8476

Wydawnictwo bezpłatne

REDAKCJA:

Jan Plata-Przechlewski,
Krzysztof Papierkowski,
Grzegorz Szczepaniak,
Marcin Szklarski,
Michał Szklarski

OKŁADKA:

Andrzej Dobrzyński

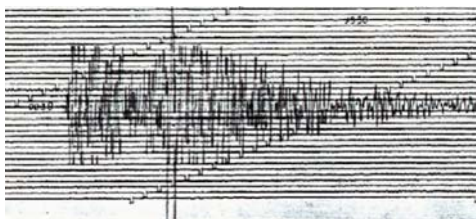
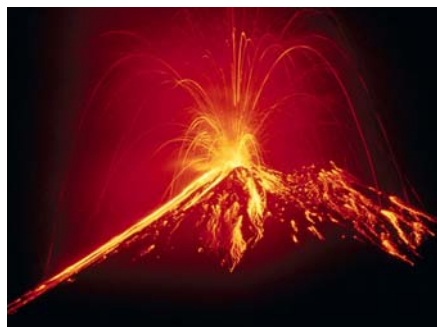
DRUK:

PRINT GROUP Sp. z o.o.,
<http://printgroup.pl>

Teksty drukowane w „Informatorze” odzwierciedlają przekonania Autorów
i nie zawsze pokrywają się z poglądami redakcji

URODZINY

Kochani Grudniowi Urodzeńcy!
Mimo wszystko...



... życzymy Wam udanej imprezy!

Redakcja „Informatora”

02 Aleksandra Pniewska
04 Lance Oszko
05 Krzysztof Sokołowski
Tomasz Świdorski
08 Mariusz Czach
09 Michalina Biedrzycka
13 Piotr Terszel

14 Ewa Białołęcka
Michał Stawski
22 Paweł Dampc
25 Adam Lewandowski
27 Jan Zygmuntowski
31 Aneta Kiergielewicz

Rafałowi Cetnerowskiemu (0 I.), z okazji narodzin (29.10.2012)
życzymy wiele kadencji prezesowania w GKF,
który przejmie po tacie – Cetim.

PIEŚŃ PIRATÓW

Port Drejk zdawna przyciągał szaleńców, czarodziei oręża i słowa.
Czy twoja Krwawa Kompania zawnładnie dokami?
Ciepła krew poleje się strugami,
Wygra ten, kto utrzyma ship.

Refren

Więc szpadą tnij, nie przejmuj się
Niech spada łeb po łbie
Czy w tańcu z Kostuchą nie pogubisz rytmu
Wytrzymasz mordercze tempo?

Niejeden raz, gdy szedłem w bój
Widziałem śmierci twarz
Mówiła mi: "Odważył się jest
Lecz kiedyś głowę dasz"

Refren



GOŚCIE NORDCONU

Ewa Białołęcka

Autorka „Kronik Drugiego Kręgu”, witrażystka i redaktorka. Dwukrotna laureatka Nagrody Zajdla, sześć razy nominowana do nagrody. Wydawana w Polsce, Rosji i Czechach. Wielbicielka dobrych książek, kotów, stylu fun gothic i secesji. Hobby: prace ręczne, grafika tradycyjna i komputerowa, hazard na Allegro, pisanie fan fiction.



Anna Brzezińska

Najpopularniejsza oprócz Andrzeja Sapkowskiego autorka polskiej fantasy. Trzykrotna laureatka Nagrody Zajdla, dwanaście razy nominowana do nagrody. Mediewistka, współwłaścicielka Agencji Wydawniczej „Runa”. Obecnie wraz z mężem Grzegorzem Wiśniewskim pracuje nad trylogią „Wielka Wojna”.



Bitwy gwar, dookoła tylko krzyk
Poprzez dym rąbiesz wroga ile sił
Precz za burty! Tam rekiny czają się
Dla nas Gloria a Hiszpanom ból i śmierć

Refren

Jeśli już cię z dukatów obrały radosne
niewiasty,
albo w ciemnym zaułku łotr,
Jeśliś przepuścił ostatni grosz,
na abordaż zacną otrzymasz broń

Refren

Jeszcze skarb! Pod pokładem gdzieś tam
jest
Pełno sztab! Pora więc wydobyć je
Za nasz trud, za zwycięstwo w bitwie tej
Pełny trzos! No i w porcie panny hej!

Refren

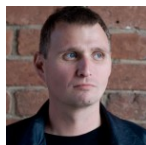
Michał Cholewa

Członek Śląskiego Klubu Fantastyki, absolwent Uniwersytetu Śląskiego na kierunku matematyka. Udziela się w Sekcji Literackiej SKF. W tym roku wydał debiutancką powieść – dobrze przyjętą military SF „Gambit”. Fan Calvina i Hobbesa (osobliwie Hobbesa). Miłośnik twórczości Stanisława Lema, George’a R.R. Martina, Rogera Zelaznego i słodczy.



Dariusz Domagalski

Zapalony żeglarz, specjalista do spraw marketingu i systemów zarządzania jakością, pasjonat historii. Interesuje go zwłaszcza starożytność i średniowiecze. Autor krzyżackiego tryptyku powieściowego, opowiadań historycznych, humoresek o ORP „Dzik”, kryminału trójmiejskiego i space opery. Scenarzysta komiksów o wikingach i felietonista.



Jacek Komuda

Pierwszy kozak i pirat polskiej fantastyki. Historyk Rzeczypospolitej szlacheckiej i Kozaczyzny zaporoskiej. Banita wyklęty przez badaczy dziejów starej daty. Twórca thrillerów historycznych i easternów rozgrywających się w XVII-wiecznej Rzeczypospolitej. Designer i scenarzysta gier komputerowych (z braku możliwości pisania scenariuszy filmowych w Polsce). Twórca RPG „Dzikie Pola”.



SZKOLENIA

Odbędzie się wiele szkoleń tematycznych dla piratów (chcących podnieść swoje kwalifikacje), prowadzonych przez doświadczonych fachowców z długoletnim stażem.

Przykłady:

Dariusz Domagalski *Klaus Störtebeker: Wróg ludzi i przyjaciel Boga*

Jacek Komuda *Czarna Bandera*

Michał i Piotr W. Cholewa *Bitwa pod Trafalgarem*

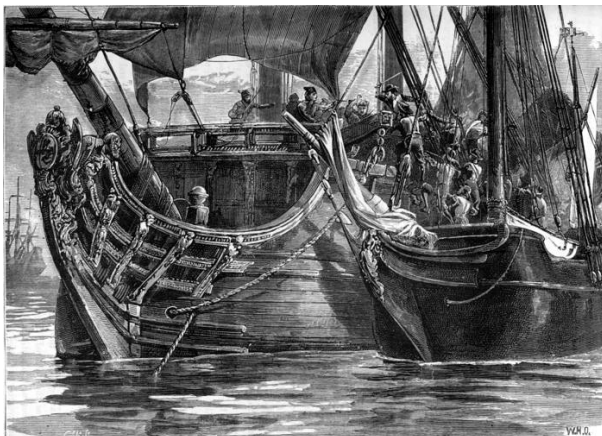
Stanisław Mąderek *Zatapiamy Czarną Perłę, czyli rejs poza horyzonty kina pirackiego*

Michał Szklarski *Pirackie ZPT*

Konrad „Biały” Klepacki *Piractwo przedmiotów – czyli o skanowaniu i druku 3D słów kilka*

Karolina Kaczkowska *Syreny wczoraj i dziś*

Adam Cetnerowski *Piractwo komputerowe*



KONKURSY I TURNIEJE

Ubiegłoroczny zwycięzca (GKF) przeprowadzi JUBILEUSZOWY KONKURS FANDOMU. Będzie tradycyjny Konkurs Strojów, Konkurs Nalewek, Konkurs na Inscenizację Abordażu i wiele innych.

Zapraszamy 4-osobowe załogi do udziału w bitwach morskich, które przeprowadzone zostaną w Dokach Południowych (Park Wodny Primavera).



ŚWIAT DZIECKA

W tym roku swoje dziecię możesz powierzyć profesjonalnym opiekunkom, aby samemu zająć się czymś konstruktywnym (abordaż, rabowanie, gwałty, hulanki etc).

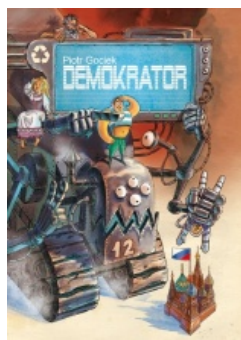


Ale pamiętaj! Za **SIERŚCIUCHA** musisz dodatkowo zapłacić w recepcji PPRIMAVERY!

NABYTKI BIBLIOTEKI GKF

Zakup książek wrzesień - październik 2012

Antologia	Rakietowe szlaki 7
Antologia	Upalna zima
Barron T.A.	Merlin ks. 3. Szalejący ogień
Bishop Anne	Belladonna efemera t2
Bodac Liliana	Saga o rubieżach
Canavan Trudi	Królowa zdrajców
Gociek Piotr	Demokrator
Hamilton Peter F.	Pustka. Czas
Hodder Mark	Zdumiewająca sprawa nakręcanego człowieka
Lawrence Mark	Książę cierni
Niven Larry	Żongler światów
Przybyłek Marcin	Czas silnych istot t2
Simmons Dan	Drood
Sullivan Michael J.	Nowe imperium. Szmaragdowy sztorm
Zamboch Mirosław	Czas żyć, czas zabijać



Darowizny książek wrzesień - październik 2012

Barker Clive	Everville
Lem Stanisław	Bomba megabitowa
Wierucka Aleksandra	Dobra czarownica zachodu

Wydawnictwa przekazane z Działu Kolportażu GKF wrzesień - październik 2012

Iwicka Beata AF#2 Kultura Śródziemia w końcu trzeciej i na początku czwartej ery
 Misterek Daniel AF#7 Tam gdzie czyha Cthulhu
 Praca zbiorowa – materiały 1. Letnich Warsztatów Twórców Larpów
 LARP. Myśli i szkice
 Praca zbiorowa pod red. K. Kornackiego i J. Szyłaka AF#9 Okolice kina grozy
 Praca zbiorowa pod red. Anny Derlatki AF#8 Oblicza horroru. Szkice z pogranicza literatury fantastyki i horroru
 Rocznik Informatory i fanzyny GKF 2011
 Szyłak Jerzy AF#4 Fantastyka i kino nowej przygody
 Tkacz Małgorzata AF#19 Baśnie zbyt prawdziwe. Trzydzieści lat fantastyki w Polsce

ZAPOWIEDZI WYDAWNICZE

Uzupełnienie listopada 2012

REBELIANT (LEGEND) – MARIE LU

Wydawca: Zielona Sowa. Data wydania: 7 listopada 2012

HARRY POTTER I KAMIEŃ FILOZOFICZNY (HARRY POTTER AND THE PHILOSOPHER'S STONE) – JOANNE K. ROWLING

Wydawca: Media Rodzina. Data wydania: 7 listopada 2012 Wznowienie

HARRY POTTER I KOMNATA TAJEMNIC (HARRY POTTER AND THE CHAMBER OF SECRETS) – JOANNE K. ROWLING

Wydawca: Media Rodzina. Data wydania: 7 listopada 2012 Wznowienie

HARRY POTTER I KSIĄŻĘ PÓŁKRWI (HARRY POTTER AND THE HALF-BLOOD PRINCE) – JOANNE K. ROWLING

Wydawca: Media Rodzina. Data wydania: 7 listopada 2012 Wznowienie

HARRY POTTER I WIĘZIEŃ AZKABANU (HARRY POTTER AND THE PRISONER OF AZKABAN) – JOANNE K. ROWLING

Wydawca: Media Rodzina. Data wydania: 7 listopada 2012 Wznowienie

HARRY POTTER I ZAKON FENIKSA (HARRY POTTER AND THE ORDER OF THE PHOENIX) – JOANNE K. ROWLING

Wydawca: Media Rodzina. Data wydania: 7 listopada 2012 Wznowienie

HARRY POTTER I INSYGNA ŚMIERCI (HARRY POTTER AND THE DEATHLY HALLOWS) – JOANNE K. ROWLING

Wydawca: Media Rodzina. Data wydania: 7 listopada 2012 Wznowienie

Harry Potter i Czara Ognia (Harry Potter and the Goblet of Fire) – Joanne K. Rowling

Wydawca: Media Rodzina. Data wydania: 7 listopada 2012 Wznowienie

ATLAS CHMUR (CLOUD ATLAS) – DAVID MITCHELL

Wydawca: MAG. Data wydania: 7 listopada 2012 Wznowienie

HOBBIT. NIEZWYKŁA PODRÓŻ. FILMOWE POSTACIE I MIEJSCA (HOBBIT: AN UNEXPECTED JOURNEY – VISUAL COMPANION) – JUDE FISHER

Wydawca: Amber. Data wydania: 8 listopada 2012

HOBBIT. NIEZWYKŁA PODRÓŻ. OFICJALNY PRZEWODNIK PO FILMIE (HOBBIT: AN UNEXPECTED JOURNEY – OFFICIAL MOVIE GUIDE) – BRIAN SIBLEY

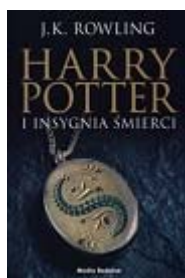
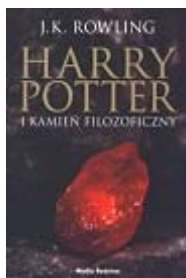
Wydawca: Amber. Data wydania: 8 listopada 2012

DZIECI PIERŚCIENIA (RINGWORLD'S CHILDREN) – LARRY NIVEN

Wydawca: Solaris. Data wydania: 13 listopada 2012

CHODZĄC NĘDZNYMI ULICAMI (DOWN THESE STRANGE STREETS) – ANTOLOGIA

Wydawca: Rebis. Data wydania: 13 listopada 2012



BŁĘDNY RYCERZ (KNIGHT ERRANT) – JOHN JACKSON MILLER

Wydawca: Amber. Data wydania: 13 listopada 2012

ZIEŁONE DZIECKO (THE GREEN CHILD) – HERBERT REED

Wydawca: Vis-à-vis/Etiuda. Data wydania: 15 listopada 2012

MARA I DANN (MARA AND DANN: AN ADVENTURE) – DORIS LESSING

Wydawca: Vis-à-vis/Etiuda. Data wydania: 15 listopada 2012

SKOK W KONFLIKT. SKOK W WIZJĘ (THE REAL STORY: THE GAP INTO CONFLICT. THE FORBIDDEN KNOWLEDGE: THE GAP INTO VISION) – STEPHEN R. DONALDSON

Wydawca: MAG. Data wydania: 16 listopada 2012 Wznowienie

SKRZYDŁA GNIEWU (WINGS OF WRATH) – C.S. FRIEDMAN

Wydawca: Prószyński i S-ka. Data wydania: 20 listopada 2012

SCIENCE FICTION PO POLSKU – ANTOLOGIA

Wydawca: Paperback. Data wydania: 21 listopada 2012

RAM DASS I KRÓL ZACHODNICH SMOKÓW – JULITA GRODEK

Wydawca: Editio. Data wydania: 21 listopada 2012

CZAS OGNI, CZAS KRWI – MARCIN RUSNAK

Wydawca: Dom Snów. Data wydania: 23 listopada 2012

PORTAL ZDOBIONY POSĄGAMI – MAREK S. HUBERATH

Wydawca: Fabryka Słów. Data wydania: 23 listopada 2013

HOBBICI. BOHATEROWIE J.R.R. TOLKIENA (THE HOBBITS: THE MANY LIVES OF BILBO, FRODO, SAM, MERRY AND PIPPIN) – LYNETTE PORTER

Wydawca: Replika. Data wydania: 27 listopada 2012

ODKRYWANIE „HOBBITA” J.R.R. TOLKIENA (EXPLORING J.R.R. TOLKIEN’S “THE HOBBIT”) – COREY OLSEN

Wydawca: Bukowy Las. Data wydania: 28 listopada 2012

METRO 2033 (METPO 2033) – DMITRY GLUKHOVSKY

Wydawca: Insignis. Data wydania: 28 listopada 2012 Wznowienie

ZAPRYSIĘŻENI (THE SWORN) – GAIL Z. MARTIN

Wydawca: Copernicus Corporation. Data wydania: 29 listopada 2012

NADCIĄGA LEGION GROZY (RIDES A DREAD LEGION) – RAYMOND E. FEIST

Wydawca: Rebis. Data wydania: listopad 2012

SŁOWO I MIECZ – WITOLD JABŁOŃSKI

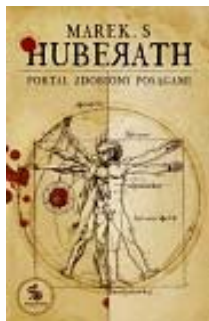
Wydawca: superNOWA. Data wydania: listopad 2012

ŚMIERCIOWISKO – ANNA GŁOMB

Wydawca: Videograf II. Data wydania: listopad 2012

DIABŁU OGAREK. OSTATNI HOŁD – KONRAD T. LEWANDOWSKI

Wydawca: Wydawnictwo RM. Data wydania: listopad 2012



Wstępnie w grudniu 2012

OPOWIEŚCI ZE ŚWIATA WIEDŹMINA – ANTOLOGIA

Wydawca: Solaris. Data wydania: 5 grudnia 2012

MROCZNE GRY (SHADOW GAMES) – MICHAEL REAVES, MAYA KAATHRYN BOHNHOFF

Wydawca: Amber. Data wydania: 6 grudnia 2012

SKOK W SZALEŃSTWO (THE CHAOS AND ORDER: THE GAP INTO MADNESS) – STEPHEN R. DONALDSON

Wydawca: MAG. Data wydania: 7 grudnia 2012

POŁA DAWNO ZAPOMNIANYCH BITEW – ROBERT J. SZMIDT

Wydawca: Almaz. Data wydania: grudzień 2012

GWIAZDA PRAWDOPODOBIENSTWA (PROBABILITY SUN) – NANCY KRESS

Wydawca: Almaz. Data wydania: grudzień 2012

BEHEMOT (BEHEMOTH) – PETER WATTS

Wydawca: Ars Machina. Data wydania: grudzień 2012

ANI SŁOWA PRAWDY – JACEK PIEKARA

Wydawca: Fabryka Słów. Data wydania: grudzień 2012

NECROPOLIS (NECROPOLIS) – DAN ABNETT

Wydawca: Fabryka Słów. Data wydania: grudzień 2012

ANVIL GATE – KAREN TRAVISS

Wydawca: Fabryka Słów. Data wydania: grudzień 2012

SAGA O RUBIEŻACH. TOM II (LOS DÍAS DEL FUEGO) – LILIANA BODOC

Wydawca: Prószyński i S-ka. Data wydania: grudzień 2012



Na podstawie serwisów: Esensja.pl, Katedra.nast.pl, Solarisnet.pl
przygotował [Janusz Piszczek](mailto:Janusz.Piszczek)

We wrześniu Agnieszka Szady umieściła na portalu Esencja swoją świetną relację z tegorocznego Polconu. Skontaktowaliśmy się z nią i poprosiliśmy o zgodę na przedruk w Informatorze GKF. Zgodę uzyskaliśmy i relacja poszła w październikowym (nr 282) Informatorze.

Ku naszemu zdumieniu, relacja (acz pod innym tytułem i z innymi zdjęciami) została również wydrukowana w Miesięczniku nr 204 Śląskiego Klubu Fantastyki. Oczywiście Agnieszka może ze swym dziełem robić co chce, ale nie chcielibyśmy być stawiani w głupiej sytuacji.

Na wszelki wypadek za zaistniałą sytuację przepraszamy Czytelników Miesięcznika i Informatora.

NIUSY

TRYLOGIA TRZECIA – ALE DISNEYOWSKA

Disney wykupił prawa do *Gwiezdnych wojen* – i jednak możemy się spodziewać nowej trylogii. Cała transakcja kosztowała studio cztery miliardy dolarów. W 2015 r. do kin ma trafić VII część sagi, a po niej nastąpią dwie kolejne. Tym samym będzie to już trzecia trylogia *Star Wars*. Na razie w internecie pojawiło się mnóstwo komentujących to fotomontaży (np. hełm Vadera i Gwiazda Śmieci z uszami Myszki Miki oraz Kubuś Puchatek jako C-3PO otwierający pojemnik z miodem w kształcie R2-D2 czy w stroju Ewoka). Nas zaś zainteresowało, czy na ekranie pojawią się Mark Hamill, Carrie Fisher i Harrison Ford...



wg: www.gildia.pl

FRODO W HORRORZE

Scenarzysta *Piły* i *Naznaczonego*, Leigh Whannel, napisał skrypt do nowego horroru – *Cooties*. Już wiadomo, że produkcją filmu zajmie się Elijah Wood, a przy okazji aktor wystąpi również w głównej roli. *Cooties* będzie opowiadał o śmiertelnie zaraźliwym wirusie, który rozprzestrzeni się w szkole podstawowej, zamieniając uczniów w potwory. Postać grana Elijah Wooda stanie na czele walczących o życie nauczycieli.

wg: www.gildia.pl

KOLEJNA KOMPUTEROWA GRA NA KINOWYM EKRANIE



Seria gier *Wolfenstein* należy do najbardziej zasłużonych w branży gier komputerowych. Już niedługo ruszą prace nad jej ekranizacją. Wytwórnia Panorama Media przygotowuje bowiem film *Castle Wolfenstein*. Przygotowaniem scenariusza i reżyserią zajmie się Roger Avary, współtwórca *Pulp Fiction*. Obraz opowie o losach młodego kapitana amerykańskiej armii i brytyjskiego agenta służb specjalnych, którzy udają się na tajną misję do zamku Wolfenstein; jej celem jest odkrycie, nad jaką bronią pracują ludzie Hitlera. Bohaterowie dość szybko po dotarciu na miejsce przekonają się, iż nie obędzie się bez walki. Producentem tytułu został Samuel Hadida, mający już na koncie liczne filmy, między innymi *Pół szczęścia w Jemenie*, *Resident Evil: Retrybucję* oraz *Czarną Dalię*.

wg: www.gildia.pl

FILMOWY POWRÓT DO ŚRÓDZIEMIA

Po halloweenowych horrorach nadszedł czas na drugą edycję ENEMEF – Noc reżyserskich wersji *Władcy Pierścieni*. Wcześniejszy maraton cieszył się ogromną popularnością, a z okazji zbliżającej się premiery *Hobbita* jest to okazja do ponownego obejrzenia kompletnej trylogii na srebrnym ekranie. Przypominamy, że film *Hobbit: Niezwykła podróż*, będący pierwszą częścią nowej trylogii Petera Jacksona, trafi do polskich kin 28 grudnia br.

wg: www.gildia.pl

KOLEJNA WERSJA CARRIE

Czy będzie to bardziej ekranizacja prozy Kinga, czy raczej remake filmu De Palmy – przekonamy się w przyszłym roku.

jpp

HARRISON FORD W BŁĘKICIE

Na płytach Blu-ray, z okazji 30. rocznicy powstania, ukazuje się jubileuszowe wydanie *Blade Runnera* Ridleya Scotta; wcześniej na tym samym nośniku wyszedł czteroczęściowy cykl o przygodach Indiany Jonesa.

jpp



ŻEBY SIĘ NIC NIE POCHRZANIŁO?

Leland Chee – pracownik LucasFilm, który jako „Keeper of the Holocron” opiekuje się bazą danych na temat całego świata *Gwiezdných wojen* – publikuje na oficjalnym blogu *Star Wars* cykl artykułów „Chronicling The Clone Wars”; przedstawia w nich chronologię animowanego serialu *Wojny klonów*.

wg: www.gildia.pl



NADCHODZI CATZILLA

Platige Image oraz demoscenowa grupa Plastic opublikowały, utrzymany w japońskiej stylistyce, trailer do wspólnego przedsięwzięcia zrealizowanego wraz ALLCinema – grupą ALLPlayera. Firmy stworzyły benchmark, oprogramowanie sprawdzające możliwości wydajnościowe komputera. Premiera *Catzilli* wkrótce.

wg: www.gildia.pl

PO KINOWYCH SEANSACH – ZNÓW NA KSIĄŻKOWO

Spotkania z Rafałem Kosikiem odbyły się podczas Targów Książki w Krakowie; rozdawane były zeszyty z opowiadaniem *Felix, Net i Nika* oraz *Metoda Sześciopalczastego*, można było też kupić premierowy tom powieści *Felix, Net i Nika* oraz *Świat Zero 2*.

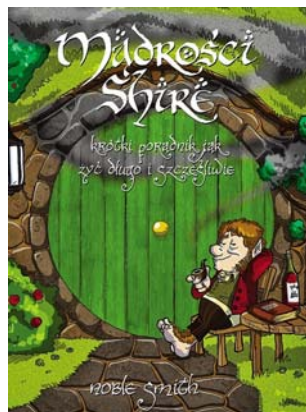
wg: www.gildia.pl



UKAZAŁY SIĘ MĄDROŚCI SHIRE

Piwo, jedzenie i przyjaciele – trzy rzeczy, które każdy szanujący się hobbit wymieni jako najbliższe swojemu sercu (prawdopodobnie w tej właśnie kolejności). *Mądrości Shire* Noble Smitha skupiają się także na innych ważnych dla niziołków (i chyba nie tylko dla nich) sprawach. Wydanie polskie: Sine Qua Non, Kraków.

wg: www.gildia.pl



REKORDOWY METEORYT

Na początku października, po trzech tygodniach poszukiwań, geolodzy z Opola i Poznania znaleźli na terenie Rezerwatu Przyrody „Meteoryt Morasko” ok. 300-kilogramowy meteoryt – pozostałość po deszczu meteorów, jaki spadł na teren położony na północ od Poznania około 5 tysięcy lat temu. Meteoryt zalegał na głębokości 210 cm, w najszerszym miejscu miał ok. 60 cm. Przy wydobywaniu meteorytu asystowali naukowcy z Francji. Naukowcy z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza przetransportowali go do laboratorium w Instytucie Geologii.

jpp



JUŻ NIE BRACIA?

Laurence Wachowski, który wraz z bratem Andym stworzył między innymi trylogię *Matrix*, jest obecnie Laną Wachowski. Już jako kobieta pojawił się na premierze ekranizacji *Atlasu chmur*.

grzeszcz



Drodzy Czytelnicy

Jak zapewne zauważyliście – ten numer „Informatora” jest bardzo graficzny. Na okładce prezentujemy barwny obraz Andrzeja Dobrzyńskiego, którego część Was może pamiętać z dawnych fanzinów i Nordconów. Pod koniec numeru autorski komiks Tomasza Meringa inauguruje serię fantastyczno-filmowych parodii. A poniżej otwieramy nową rubrykę: GALERY. Przedstawiać w niej będziemy prace, które nie mogą służyć za okładki, ale warto je zaprezentować. Pewnie poznajecie logo „galernika” z „Czerwonych Karłów”?

Na pierwszy ogień idą grafiki Adama Szarego.

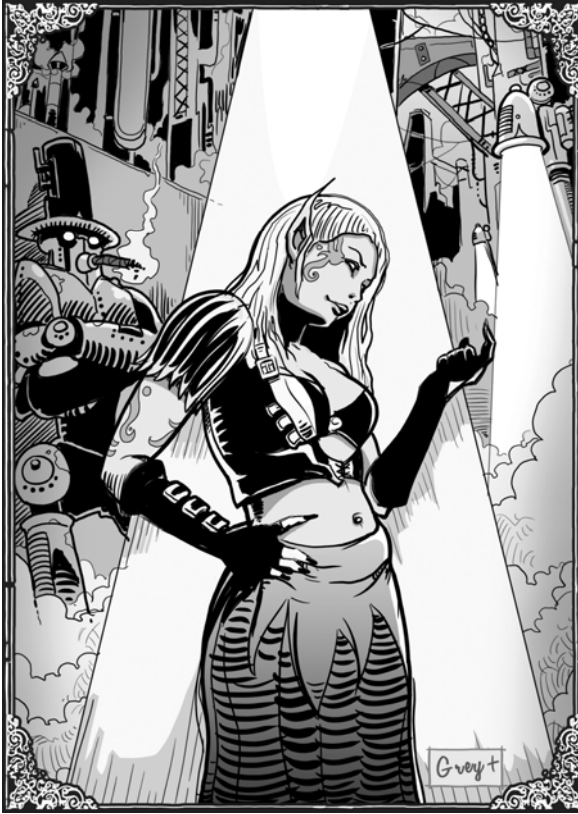
Nazywam się Adam Szary. Podchodzę z Bielska-Białej, obecnie mieszkam w Toruniu. Od około ośmiu lat zajmuję się ilustracją jako freelancer, wcześniej byłem layouterem w studio filmów animowanych w Bielsku-Białej. Moi ulubieni artyści to H.R. Giger, Frank Miller pod kątem rysunku, natomiast najlepsze moim zdaniem scenariusze komiksowe wychodzą spod ręki Gartha Ennisa. Komiksy, które najbardziej cenię pochodzą z wydawnictwa „Vertigo”. Moje ulubione to

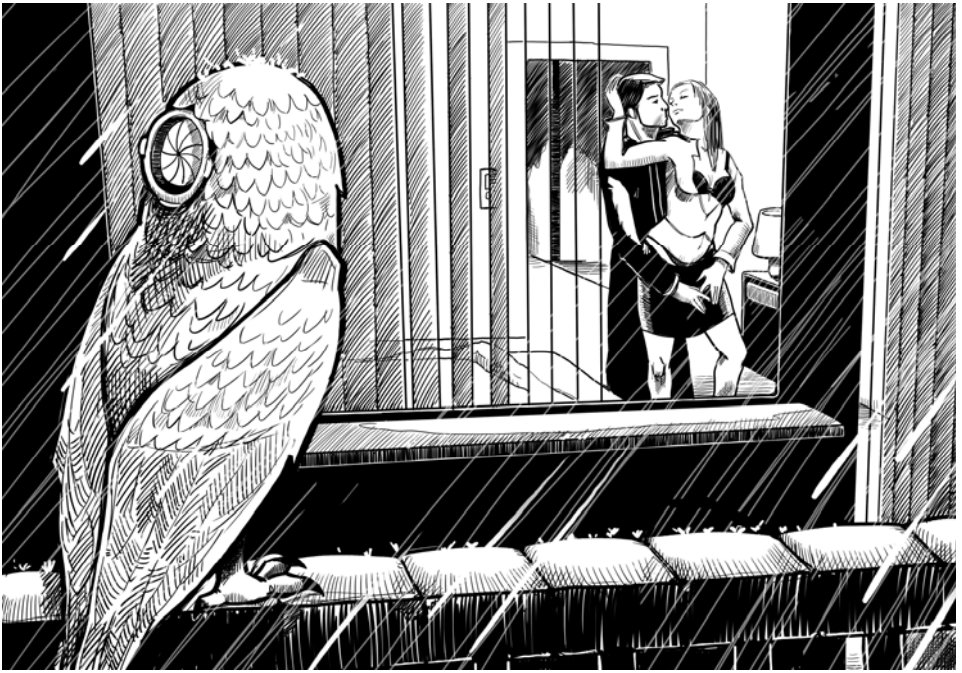
„Kaznodzieja”, „Hellblazer” oraz, nie będę oryginalny, „Sin City”. Moje rysunki generalnie oscylują w klimacie komiksu, horroru i fantasy. Preferuję czarno-białą technikę, jednak staram się nie unikać koloru. Czerpię inspirację z europejskiej, jak również amerykańskiej szkoły komiksu, przy czym dążę do stworzenia własnego, niepowtarzalnego stylu. Często w moich pracach pokazuję okrucieństwo, jednak w groteskowy, zabawny sposób. Tworzę komiksy, a także ilustracje do gier i podręczników RPG. Więcej na mój temat możecie przeczytać (i zobaczyć!) na mojej stronie – <http://adamszary.com>. Serdecznie zapraszam do odwiedzin!

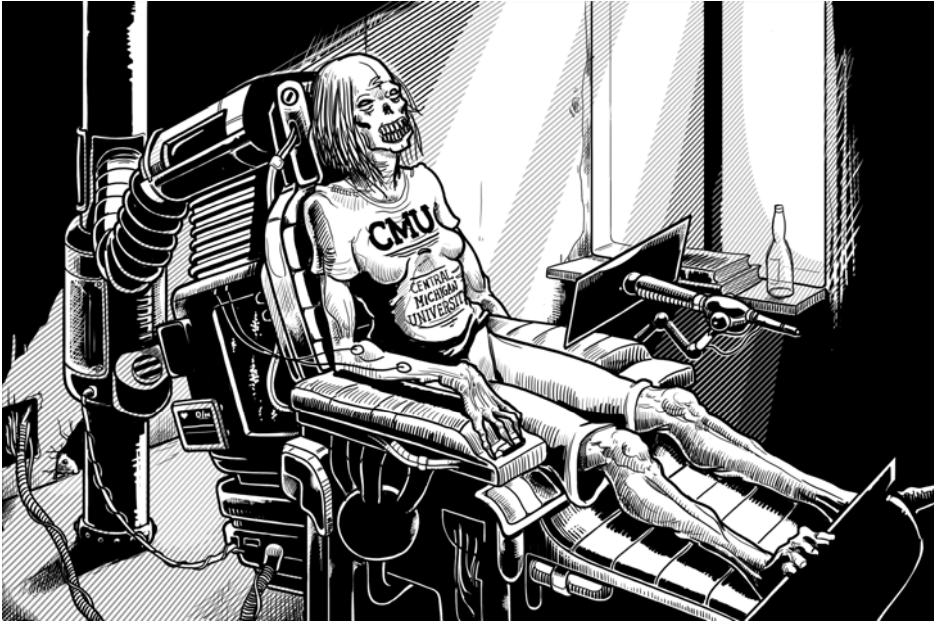


fot. Radosław Worek

















GRA W STATKI

Tytuł: Battleship

Produkcja: USA, 2012

Gatunek: Militarno-planszowy

Dyrekcja: Peter Berg

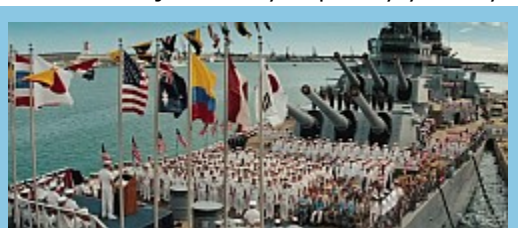
Za udział wzięli: John Carter, Quinn-Gon Jinn, Eric Northman, Rihanna, kultowy Murzyn bez nóg

O co chodzi: Żeby zatopić wrogie statki zanim on zatopi nasze

Jakie to jest: Film genialny w swoim absurdalnym koncepcie ekranizacji gry w statki (acz w skomercjalizowanej wersji Hasbro), obfitujący w wybuchy i generalnie jawiący się jako kwintesencja hollywoodzkiej sieczki. No więc jedziemy...

Peter Berg zapewne sam zrozumiał, że jedyna szansa dla *Battleshipa* to bezpretensjonalizm i autoparodia. Niestety, wyszło to tylko połowicznie, gdyż reżyser z jednej strony chciał zachować dystans, a z drugiej nadać filmowi jakiś przyzwoity poziom, co nie do końca da się pogodzić. Nie zawsze jesteśmy pewni, czy Berg jest poważny niczym Emmerich, czy robi sobie jaja (jak np. w scenie obsadzania battleshipa przez dziadków-weteranów). Co więcej: musiał uważać, aby w luźnym podejściu nie obrazić ważnego sponsora filmu w postaci US Navy, co też pewnie nie pomagało. Generalnie przez film przebija przesłanie „Nie zna życia, kto nie służył w marynarce”.

Sceny bezpretensjonalne przeplatają się więc np. z wątkiem rozterek dwóch głównych braci; notabene wątek sam w sobie jest niezły i podszyty dobrym dialogiem – niestety do reszty filmu pasuje jak wół do karety. Film kręci się zatem wokół przygód dwóch przystojnych oficerów, z których jeden chce (Eric Northman), a drugi musi (John Carter) być w marynarce, zaś przyjemny żywot pędzą na Hawajach. Ten mniej poważny nawiązuje kontakt ze średnio urodziwą córką admirała, więc powstaje pole do zabawnych sytuacji służbowo-osobistych. Druga średnio urodziwa niewiasta na ekranie to niejaka Rihanna, znana podobno ze śpiewu. Niestety, chyba jej postaci nie było w scenariuszu, więc kiedy się już dopchała na plan – kazali jej stawać raz z lewej, raz z prawej i na tym skończył się jej popis aktorski (z małym wyłączeniem sceny z minigunem, jako żywo



Bohater tytułowy

inspirowanym twórczością Mistrzyni Nataszy Urbańskiej)), więc nie będę już do niej wracał.



Z niniguna go

gów/przyjaciół. Same manewry połączone są z turniejem soccera, które wygrywa – nieuczciwie rzecz jasna – Japonia. Potem już główną ekipę będzie stanowić czwórka: biały Amerykanin, czarna Amerykanka, Japończyk i jakiś rdzenny Hawajczyk, wszyscy owinięci w amerykańską flagę. Tutaj udaje się Bergowi z za kadru obśmiać ten dyżurny patosik, nie kłócąc tego z heroiczną naturą filmu i punkty za to. Acha, warto dodać, że ważny wątek ciągnie weteran-inwalida bez nóg, który jak trzeba, to wymiata. Motyw ten jest tak grzecznie przegięty, że aż dobry.



...Kto nie wypływał na morskie harce...

Wszystko to jest niestety bardziej ciekawe niż sam motyw kosmiczny. Jak każdy wiedział już z trailerów: podczas naszych manewrów w okolicy wodują kosmici, siejąc śmierć i pożogę. Kosmici owi w filmie są absolutnie po nic – poza tym, żeby można było do nich postrzelać. Demonstracja kosmicznej siły to poważna wizualna padaka: coś ląduje na Ziemi, coś się rozbija, coś się wynurza, coś zanurza, coś świeci, coś strzela, coś startuje, coś ląduje, łażą jacyś ufoccy komandosi... Może dzieci za tym nadażają, ja nie – gdzie te czasy, gdy mieliśmy mothershipa, wylatywały z niego UFa i cześć? Twórcy zdawali sobie sprawę ze słabości przywiezionych przez siebie kosmitów, gdyż nie wysilili się też specjalnie z ich designem, kopiując kilka dyżurnych transformerskich/gierkowych sztańc.

No właśnie, a jak się to ma do gry w okręty – poza tym, że występują tu okręty? Całkiem zabawnie. Z niewyjaśnionych przyczyn ufoki nie widzą ludzkich statków w nocy, a ludziska nie widzą kosmitów na radarze, więc obie strony strzelają na oślep. Mądry japoński kapitan dzieli sobie pole walki na sektory oznaczone kodami literowo-liczbowymi i wali w nie na oślep Tomahawkami – czasami trafiając, czasami nie. Kiedy statek dostanie jednym strzałem traci tylko jedną kratkę i jeszcze trzyma się na wodzie – jednak, kiedy enemy się już w niego wstrzeli, szybko pozbawia go pozostałych krutek. Mniejsze statki idą na dno po 1-2 strzałach, większe po dłuższej robocie. Gra w statki na całego.

To znaczy statki mają ludzi, kosmici poruszają się jakimiś skaczącymi kosmicznymi wodolotami, co stanowi dla mnie poważny gwałt na kanonie „Okrętów” – i tu w tym miejscu odmawiam uznania filmu za pełnoprawną ekranizację tej gry! Ale idźmy dalej.

W ramach podejścia zdystansowanego filmowiec dość liberalnie traktuje realia. Nie jestem specjalnym specjalistą od marynistyki, ale raczej wiem, że statek nie zatrzymuje się w miejscu i nie rusza sekundę po włączeniu silników. Spodziewam się też, że promień skrętu pancernika z WW2 wynosi trochę więcej niż 100 m, a także, że nie obsłuży go 10-osobowa załoga, skoro pierwotnie potrzebnych było załogantów 2 tysiące. Przypuszczam także, że sygnał radiowy do innego układu słonecznego leci nieco dłużej niż 5 lat (po takim czasie zjawiają się kosmici na Ziemi, czyli i tak nie biorę pod uwagę czasu ich lotu). Intryguje mnie też entuzjazm, z jakim główny Japończyk podchodzi do misji na USS Missouri, znając jego chlubną rolę w finalizacji wrogości amerykańsko-japońskich. Mam nadzieję, że w ramach dalszego leczenia kompleksów przeszłości w dwójce nasi bohaterowie polecą w misję na pokładzie Enola Gay.



Tytus wskoczył do gierki!

A właśnie: trailery kłamią. Jeśli obawiacie się, że całe manewry i walka z kosmitami odbywa się z pokładu antycznego Missouri, nic bardziej mylnego! W akcji przez większość filmu są normalne niszczenie rakietowe, lotniskowce itp. shit. Dziwne, że łodzi podwodnych nie było – mogłyby bardzo pomóc.

Battleship to zatem film wielkich kontrastów. Jest niezły, ale naprawdę spodziewałem się autoparodystycznej wiksy i miałem nadzieję na coś o klasę lepszego. W porównaniu z przeciętnym głównym Emmericha czy późnym Bayem jest to oczywiście arcydzieło, a sceny militarystycznej akcji i rozwalki w niczym nie odstają od współczesnych trendów. Mamy również kilka fajnych czysto filmowo scen, jak np. pojedynkę w słońcu, nawiązanie do jedyńki *Piratów* z *Karaibów*, abstrahując już od dalekich ech *BSG* czy bliższych *Titanica* w wersji męskiej. Pojedyncze sceny są zrobione pierwszorzędnie i podszyte super muzą – jednak jako cały filmowy ciąg są nieco nużące, zwłaszcza że fabuła nie tryska jakimiś obłądnymi zwrotami akcji i zaskoczkami.

Z jednej strony warto obejrzeć w kinowych oparach popcornu (zwłaszcza że film nie jest skażony zarazą 3D), z drugiej zaś – swoim poziomem bardziej nadaje się on na romantyczny wieczór przy Waszym nowym telewizorze kupionym na Euro.

Ocena (1-5):

Ufoludki: 2

Dziadkowy hero walk: 5

Jimmy i jego scenka po napisach: 5

Fajność: 4

Cytat: But I've saved the world, sir!

Ciekawostka przyrodnicza: Murzyńskiego twardego bez nóg gra faktyczny weteran bez nóg, co jak na debiut zasługuje na podziw.

Commander John J. Adams
(www.zakazanaplaneta.pl)

[tytuł od redakcji INFO]

Lot, który nie przeszedł do historii



Dawno, dawno temu ludzie latali na Księżyc. A potem przestali. Dlaczego?

Kiedy w 1972 roku oficjalnie zakończono program Apollo – NASA dysponowała jeszcze trzema kompletami raket księżycowych (Saturn 5 – kabina załogi – lądownik LM). Użyto ich do lotów orbitalnych, a lot Apollo 17 (7-19.XII.1972 r.) zakończył naszą obecność na ziemskim satelicie.

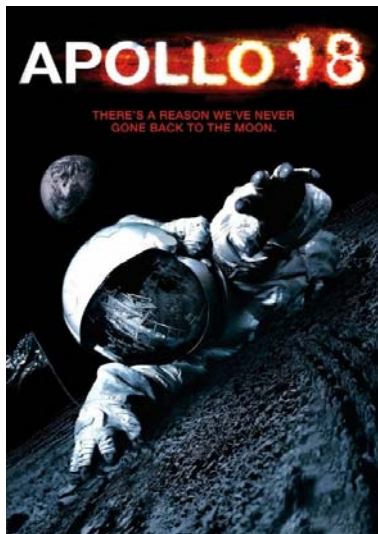
Przynajmniej oficjalnie, gdyż ostatnio za pośrednictwem DVD ujawniono światu następną, ściśle tajną, misję: Apollo 18.

Film należy do gatunku *mockumentary*, prezentuje więc oddany z realizmem zapis tej wyprawy. Mamy zatem spacerów księżycowe, ustawianie flagi, zbieranie próbek oraz jazdę łazikiem. Jednak w pewnym momencie zaczyna robić się dziwne: amerykańscy lunonaucci znajdują rosyjski lądownik, a potem zwłoki jego pilota. Od tej pory napięcie narasta jak w dobrym kryminale; a ponieważ słuszną tradycją jest, że takowych się nie opowiada, więc i ja nie osmielę się zdradzić, w czym rzecz. Powiem tylko, że nie chodzi o nazistów (jak w *Iron Sky*), ani o agendę obcej cywilizacji (jak w znanych teoriach spiskowych) – ba, dodam jeszcze, że rozwiązanie (o ile w ogóle można je tak nazwać), jest dalekie od banału. Z tego powodu, a także z racji specyficznego klimatu, film wydaje mi się godny polecenia.

Tylko skąd, u licha, wzięła się ta taśma, skoro astronauta, jak łatwo się domyślić, nie wrócili na Ziemię, a przez większość czasu nie było kontaktu z Houston? To już, jak miemam, będzie musiało na zawsze pozostać tajemnicą twórców (przepraszam: odkrywców) tego filmu.

Ale i tak jest fajnie.

Andrzej Prószyński



Apollo 18 (2011)

ocena FilmWeb: niezły (5,7/10), IMDb: 5,3/10

gatunek: thriller, sf

reżyseria: Gonzalo López-Gallego

scenariusz: Brian Miller

muzyka: Harry Cohen

zdjęcia: José David Montero

produkcja: Kanada, USA

czas trwania: 83 min.

Obsada:

Warren Christie (Ben Anderson, pilot LM)

Lloyd Owen (Nathan Walker, dowódca misji)

Ryan Robbins (John Grey, pilot Apolla)

Ali Liebert (dziewczyna Nathana)

Andrew Airlie (kontroler misji)

Michael Kopsa (zastępca Sekretarza Obrony)

Hasło reklamowe: Jest powód, dla którego nigdy tam nie wróciliśmy.

Recenzje

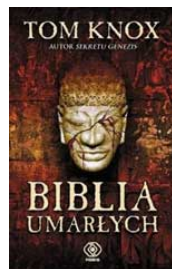
Karola

WCIĄGAJĄCA I NIETYPOWA FANTASTYKA

Tom Knox

BIBLIA UMARŁYCH

Julia Kerrigan prowadzi badania archeologiczne w jednej z jaskiń pod Cham de Bondons we Francji. Znajduje szczątki ludzkie sprzed wielu tysięcy lat. Znaleźisko jest intrygujące, bo na kilku czaszkach widać ślady po przeprowadzonej trepanacji. Julia uznaje, że dokonała ważnego odkrycia. Doznaje jednak zawodu, gdyż jej szef, Ghislaine Quoinelles, bagatelizuje rangę odkrycia. Julia nie umie pogodzić się z decyzją zwierzchnika. Kiedy Ghislaine Quoinelles zostaje wkrótce potem brutalnie zamordowany – Julia zaczyna mozolnie odkrywać tajemnice, które skrywał przez lata. Tajemnice te mają związek nie tylko ze szczątkami odkrytymi w jaskini, ale także z wydarzeniami w Azji Południowo-Wschodniej, czyli obszarze nazwanym przez Europejczyków Indochinami.



Jake jest fotoreporterem. Aktualnie przebywa w Laosie, gdzie gromadzi materiał do albumu o Azji Południowo-Wschodniej. Tyrone McKenna, amerykański dziennikarz, przygotowuje tekst do tego albumu. Informuje on Jake'a, że ich znajoma z Kambodży, Chemda Tek, przyjechała do Laosu. Chemda pracuje dla ONZ i gromadzi dane na temat zbrodni popełnionych przez Czerwonych Khmerów. Aktualnie prowadzi śledztwo na Równinie Dzbanów w Laosie w sprawie tajemniczych wydarzeń z 1976 roku, kiedy przywódca Czerwonych Khmerów, Pol Pot, wysłał tu grupę naukowców. Zdaniem Chemdy tam właśnie zginęła jej babcia. Zauroczony Chemdą Jake oferuje swoje towarzystwo i pomoc. Tym samym wciągnięty zostaje w wir wydarzeń, które zagrożą jego życiu, zmuszą do niebezpiecznych podróży przez kolejne kraje Azji i wreszcie naprowadzą na trop niezwykłych tajemnic dotyczących eksperymentów na ludzkim umyśle.

Świetnie napisana książka! Tom Knox doskonale opanował rzemiosło pisarskie. Umie budować nastrój grozy i tajemnicy. Mnoży zagadki. Czytelnik na pewno nie może uskarżać się na nudę. Równocześnie jest to bardzo inteligentna rozrywka, bo porusza dość istotne kwestie dotyczące kondycji ludzkiej, religii i ideologii. Nie jestem pewien, do jakiego gatunku powinienem zaliczyć tę powieść. Powieść sensacyjna z elementami fantastyki? Niezbyt adekwatne, bo jeszcze ktoś pomyśli, że książka jest o kosmitach, podróżach w czasie lub czymś podobnym, co stereotypowo kojarzy się z fantastyką. Swoją drogą – współczesną literaturę trudno szufladkować, bo przykładowo sensacja już dawno przeniosła się na obszary zarezerwowane dawniej dla fantastyki. W pewnym sensie trafne byłoby określenie „thriller”. Tyle tylko, że nie bardzo lubię to określenie, bo choć doskonale tu pasuje, to nie oddaje do końca ducha opowieści. A może powinienem darować sobie próby szufladkowania tej książki i ograniczyć się do stwierdzenia, że

jest to doskonała lektura? Znalazłbym drobne mankamenty pomysłu, który dał podstawy fabule, ale w pewnym momencie zrozumiałem, że takie rozczarowanie jest właściwie nieuniknione. Autor za wysoko postawił poprzeczkę, by móc ją potem przeskoczyć bez strącenia. Zresztą, gdyby nie naciągnął pewnych faktów, nie wspominałbym o fantastyce. No, i nie powstałaby ta niezwykła książka.

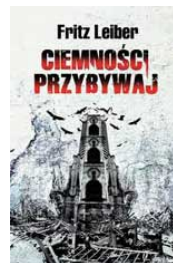
Co ciekawe: choć autor jest z Zachodu, jakimś cudem uniknął zaczerpnięcia lewicowymi ideami, co jest tam dość powszechne. Ciarki człowieka przechodzą, kiedy go i rusz czyta o tych nieszczęsnych „pożytecznych idiotach”, jak nazywał ich Lenin, i ich wyczynach. Tom Knox nie ma dla nich litości. Opowiadana przez niego historia to równocześnie pretekst do obnażenia części komunistycznych zbrodni i krytyki zachodnich sympatyków komunizmu, którzy akceptowali te zbrodnie w imię wyższych celów. Choć – dla równowagi – amerykańskim sposobom walki z komunizmem też się dostaje. Chyba właśnie dlatego autor zyskał mój szacunek, bo nie ma litości dla nikogo, kto ma w pogardzie życie ludzkie. Do tego bardzo celnie obnaża ideologię komunistyczną jako jeszcze jeden system wierzeń. Obiecujący ludziom raj na Ziemi w życiu doczesnym, zamiast w zaświatach po śmierci. Szkoda, że autor nie idzie krok dalej, by zauważyć, że ateizm to także wiara. Skoro nie możemy ani udowodnić, że Bóg istnieje, ani że go nie ma, możemy tylko wybrać, czy wierzymy, że istnieje, czy nie. Żadna z tych postaw nie jest lepsza w życiu doczesnym. Pomijając naturalnie wyznawany system wartości. I tu znowu trafiamy na kluczowe słowo: „wyznawany”. Nie jest to coś powszechnie obowiązującego; a skoro jest kwestią wolnej woli – obracamy się ciągle w kręgu wiary, choć nie są tu bynajmniej wymagane jakiegokolwiek konotacje religijne. Szkoda tylko, że tak niewielu ludzi to rozumie. W efekcie świat wygląda tak, a nie inaczej. Autor ma rację w końcowych konkluzjach, że człowiekowi wiara potrzebna jest jak powietrze. Dzięki temu łatwiej przejść przez życie. Problem pojawia się wtedy, gdy wiara (i znowu nie chodzi mi tylko o religię, a ogólnie o system wartości) staje się pretekstem do działań, które innym utrudniają życie. Bardzo często pod sztandarami Dobra (można tu wpisać dowolną ideę, która przez jej zwolenników uznawana jest za szlachetną) czynione jest zło. A najsmutniejsze jest to, że tak było, jest i zapewne będzie. Bo w końcu człowiek jest tylko człowiekiem.

NIHIL SUB SOLE NOVUM

Fritz Leiber

CIEMNOŚCI, PRZYBYWAJ

W odległej przyszłości – po konflikcie, który zmiotł wcześniejszą cywilizację – rządy nad światem sprawuje Hierarchia Wielkiego Boga. Religia jest narzędziem sprawowania władzy. Zwykli ludzie są tyranizowani i poddani rządowi totalitarnemu. Tymczasem kapłani opływają w dostatki. Już na wczesnym etapie nauki każdy przyszły kapłan jest informowany, że Wielki Bóg nie istnieje. Uczy się też posługiwania nowoczesnymi technologiami, aby przy ich pomocy umacniać w zwykłych ludziach wiarę i przesady. Kapłani są cynicznymi naukowcami, którzy swą wiedzę wykorzystują w celu utrzymania istniejącego *status quo*. Ponad



100 lat temu grupa naukowców doszła do wniosku, że wspomagany nowoczesnymi technologiami kult religijny w połączeniu z elementami średniowiecznego modelu społeczeństwa – to gwarancja stabilnych rządów. Poddaństwo triumfuje.

Świeżo przyjęty w szeregi kapłanów Armon Jarles buntuje się przeciw systemowi. Wobec zebranego tłumu wiernych wygłasza płomienną przemowę obnażającą prawdę o kapłanach i religii. Nie wie, że jest manipulowany, a cały epizod to tylko element walki o władzę w szeregach kapłanów. Jego bunt miałby tragiczny finał, gdyby nie interwencja Czarnoksięstwa. Skupia ono przeciwników Hierarchii, którzy właśnie postanowili się ujawnić. Wyznają oni Satanasa, antagonistę Wielkiego Boga. Nowoczesne technologie opanowali lepiej niż Hierarchia. Teraz korzystają z nich, by siać zamęt. Czy jednak niewielka grupa spiskowców może obalić system?

Fritz Leiber w inteligentny sposób pokazał, jak opłakane mogą być skutki sojuszu religii i nauki. A właściwie cynicznego wykorzystywania religii do sprawowania władzy. Zainspirował się stosunkami znanymi ze średniowiecznej i nowożytnej Europy, ale mógłby sięgnąć po dowolny inny model religijny, by dowiedzieć tego samego. Autor bawi się pomysłami i nawiązaniami do przesądów; ale stoi za tym przesłanie, że każda religia może być niebezpiecznym narzędziem. Jest realistą – o czym świadczą ostatnie strony powieści – i nie wierzy w szybki triumf rozumu. Konkluzja jest raczej podobna, jak u Toma Knoxa w *Biblii umarłych*: ludzie potrzebują wiary.

Książka bardzo mi się spodobała. Fabuła szybko wciąga. Autor funduje czytelnikowi sporą dawkę zwrotów akcji, co gwarantuje odpowiedni poziom napięcia i emocji. Nic dziwnego, że błyskawicznie ją przeczytałem. A że przy okazji powieść daje do myślenia – tym lepiej.

RUTYNA, ALE WIELCE SYMPATYCZNA

Michael J. Sullivan

KRÓLEWSKA KREW. WIEŻA ELFÓW

Hadrian i Royce to para utalentowanych złodziei, gotowych za odpowiednią opłatą podjąć się dowolnej kradzieży. Znani są jako Riyira. Dokonali już wielu kradzieży, które przeszły do legendy. Na swoje nieszczęście, mają dość poważną słabość: podejmują się zadań nie tylko ze względu na profity materialne, ale także nadzieję spełnienia dobrego uczynku. Ten dodatkowy bodziec ma nie do końca dobry wpływ na ich zdolność chłodnego i racjonalnego myślenia.

Nic dziwnego, że zgadzają się wykraść miecz z zamku królewskiego, skoro czyn ten ma uratować ludzkie życie. Zadanie ryzykowne, bo czasu na jego wykonanie jest niewiele, co uniemożliwia przeprowadzenie rozpoznania. Nie ma mowy o własnym planie, trzeba zdać się na zleceniodawcę. Podane przez niego wskazówki pozwalają bez trudu dostać się do zamku. Jednak zamiast miecza, który mieli ukraść, złodzieje znajdują zwłoki zamordowanego króla. Zostają schwytani i oskarżeni o morderstwo. Nie ulega wątpliwości, że ktoś celowo zaaranżował tak całą sytuację. Hadrian i Royce lądują w lochu, a następca tronu chce ich szybkiej śmierci. Szczęście jednak sprzyja parze złodziei. Siostra następcy tronu uwalnia ich – prosząc równocześnie, by



porwali nowego króla. Dla jego dobra, oczywiście. Tym sposobem Hadrian i Royce coraz bardziej wikłają się w intrygę, w której stawką są losy królewskiej rodziny i królestwa.

Autor nie jest zbyt oryginalny. Wykreowany przez niego świat jest kalką wielu znanych od dawna i popularnych w fantasy pomysłów. Eksploatowanych nie tylko przez pisarzy, ale także przez twórców gier i filmów. A para głównych bohaterów natychmiast przywołuje wspomnienia przygód Fafryda i Szarego Kocura, czyli lotrzykowskią twórczość fantasy Leibera. Intrygi nie są zbyt wyszukane. W tym względzie autorowi daleko do takich mistrzów jak Martin, Sanderson, Jordan czy Erikson. Właściwie mógłbym w podobnym tonie dalej deprecjonować Sullivana i jego twórczość, tylko jaki miałoby to cel?

Zazwyczaj tym pytaniem retorycznym kończę dywagacje i przechodzę do miazdzącego podsumowania, w którym często wyrażam żal, że w ogóle sięgnąłem po dany tytuł. Tym razem, wyjątkowo, będę przewrotny. Pomimo powielania schematów i pomysłów, a także wielu innych mankamentów, których nie warto wyliczać, autor stworzył znakomity cykl powieściowy. Wiem, trąci to absurdem, stanowi jeden wielki paradoks, ale jestem urzeczony po lekturze dwóch pierwszych części cyklu wydanych w tym tomie.

Swoją drogą, już sam fakt wydania dwóch części w jednym tomie jest zdumiewający. Nasi wydawcy zdążyli mnie przyzwyczaić, że potrafią podzielić książkę na kilka części, byle dzięki temu zarobić więcej. Czyżby wydawnictwo "Prószyński i S-ka" zatrudniało normalnych ludzi, a nie menadżerów z operacyjnie usuniętym sumieniem i wszczepionym w to miejsce kalkulatorem?

Wróćmy jednak do książki. Czym urzekł mnie cykl Sullivana? Chyba przede wszystkim lekkim i humorystycznym podejściem do tematu. Może po prostu potrzebowałem odskoczni od mrocznych historii, którymi raczą mnie moi ulubieni autorzy? Sullivan oferuje czytelnikowi ciekawą fabułę, ale nie zrzuca mu przy tym na barki ciężaru rozterek moralnych i problemów emocjonalnych bohaterów. To jest po prostu rozrywka. Ciekawa, wciągająca, miejscami bardzo zabawna. Jest tu wszystko to, co lubię: tajemnice, zagadki, intrygi i zwroty akcji.

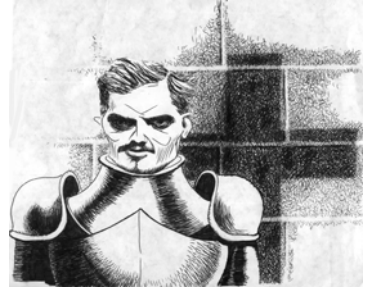
Co istotne, a traktuję to tym razem jako zaletę, lektura nie jest tak wymagająca, jak w przypadku twórczości wielu poczytnych i wzmiankowanych przeze mnie wcześniej autorów. Nie ma tu dziesiątek bohaterów pierwszoplanowych, a zaledwie kilkoro. Postaci drugoplanowych nie liczy się w setkach, a w dziesiątkach. Jasne, podziwiam autorów, którzy kreują to mrowie postaci, jednak jest to wyzwanie nie tylko dla autora, ale i dla czytelnika, aby ogarnąć to całe bogactwo postaci. Gdyby kolejne tomy ukazywały się w niewielkich odstępach czasu, nie byłoby to problemem. Niestety, mijają lata, zanim czytelnikowi dane jest poznać dalsze losy bohaterów. A wtedy bez przypomnienia sobie poprzednich tomów nie warto zaczynać lektury nowego. Nieco to uciążliwe, bo czas to towar deficytowy.

Świetnie się bawiłem przy lekturze i mam nadzieję, że kolejne tomy okażą się równie dobre. Cieszę się, że opłaciło się ryzyko sięgnięcia po twórczość nieznanego wcześniej autora. Sullivan nie jest może twórcą oryginalnym, ale na rzemiośle pisarskim zna się dobrze. Szczęśliwie się składa, że widziałem już w księgarni kolejny tom z dwoma następnymi częściami cyklu.

Karol Ginter
karolginter.pl

Okruchy Ogana

Korespondencja nr 36



Ale to nie koniec pieśni...

Wiadomość o śmierci Przemysława Gintrowskiego (20.X.2012 r.) zupełnie mnie zaskoczyła. Co prawda w ostatnim czasie nie śledziłem jego artystycznych dokonań, ale kiedy tylko pojawiały się jakieś informacje o nowych albumach czy występach Gintrowskiego, to je z radością odnotowywałem i obiecywałem sobie, że – jeśli tylko pojawi się z recitalem w Trójmieście – to nie omieszkam się nań wybrać. Stało się jednak tak, że już żadnego koncertu z jego udziałem nie obejrzę i że żadnych nowych nagrań Przemka nie będzie. Wraz z jego śmiercią kończy się również powoli historia antykomunistycznego pieśniarstwa; z dawnych opozycyjnych bardów na straży pozostał chyba jeszcze tylko Jacek Klejff, ale on ostatnio częściej przypomina o sobie listami otwartymi niż utworami (kto by mu zresztą w dzisiejszych wesołych czasach pozwolił coś nagrać, takiemu smutasowi).

Po raz pierwszy usłyszałem Gintrowskiego bodajże w roku 1988 z jakiejś kasety z zakazanymi w PRL piosenkami (dla młodszych czytelników „Informatora”: były kiedyś takie czasy, w których nie tylko słowo pisane było cenzurowane, ale i śpiewać nie wszystko było można; a i jeszcze jedno: kasety to były takie przedmioty służące do magnetycznego zapisu informacji, a odtwarzało się je w urządzeniach zwanych magnetofonami za sprawą głośnic reagujących na impulsy elektromagnetyczne). Nagrania te miały to do siebie, że więcej było na nich szumów i buczenia niż słowno-muzycznej treści, co w niczym jednak nie przeszkadzało, by się niemal nabożnie w nie wsłuchiwać i pieczołowicie rekonstruować płynący z nich przekaz. Nagrania Przemka tym się różniły od innych, że do

akompaniowania używał syntezatorów, podczas gdy standardowym instrumentem dla większości wykonawców była wówczas gitara, czasami jeszcze towarzyszył im fortepian, skrzypce czy flet. Ale nie tylko elektroniczne brzmienia wyróżniały jego piosenki. Prawdziwie hipnotyzująca była niepowtarzalna chryпка Przemka. Jeśli dodać do niej niski, głęboki tembr głosu artysty, to trudno się dziwić, że jego interpretacje zapadały głęboko w pamięć i nie dawały się łatwo stamtąd wygonić. A kiedy śpiewał, to ciarki chodziły po plecach.

Gintrowski zaczynał swą karierę od hard rocka, ale – po krótkim okresie grania coverów gigantów rocka lat 60. i 70. XX w. – zainteresował się śpiewaniem poezji i to w tej dziedzinie osiągnął arcymistrzostwo. Jego znakiem firmowym były kompozycje do wierszy Zbigniewa Herberta. To trudna poezja, najczęściej biała, pozbawiona nie tylko rymów, ale i rytmu, a ostatnie co się o niej da powiedzieć, to to – że się nadaje do śpiewania, że jest w niej jakaś meliczność i że można ją z niej wydobyć. A jednak Gintrowski potrafił znaleźć melodię w tych strofach i to nie jakąś eksperymentalną, z poprzelamywaną frazą, ale klasyczną, harmoniczną i przyjemną dla ucha – prawdziwą kwintesencję poezji śpiewanej. Herbert uważał swoje wiersze za utwory skończone, niepotrzebujące dodatkowej oprawy. Niemniej jednak ornament Przemkowej muzyki dodał im nowego blasku, atrakcyjnego zwłaszcza dla tych, którym nie jest łatwo przedzierać się przez meandry współczesnej liryki. I zyskał także akceptację samego poety.

O tym, że śpiewanie poezji jest słusznym wyborem, przekonał się Gintrowski w roku 1976, kiedy wygrał przegląd piosenki studenckiej w „Riwierze” przejmującym wykonaniem *Epitafium dla Sergiusza Jesienina* Krzysztofa M. Sieniawskiego. W roku 1979 wraz z Jackiem Kaczmarskim i Zbigniewem Łapińskim stworzył legendarne trio, z którym grał aż do roku 1981. Przez te trzy lata odbyli niezliczoną liczbę koncertów w kraju i zagranicą. Byli wszędzie tam, gdzie działo się coś ważnego i swoimi piosenkami wspierali rodzący się wówczas ruch Solidarności. Piosenka Kaczmarskiego *Mury* do muzyki Lluisa Llachy stała się nawet nieformalnym hymnem NSZZ Solidarność, choć tak naprawdę była manifestem twórczej niezależności i samotności artysty w obliczu tłumu (Kaczmarski w ostatnim refrenie wyśpiewywał smutne proroctwo: „a mury rosna, rosna, rosna/ łańcuch kołysze się u nóg”, jednak większość odbiorców słyszała tylko: „wyrywaj murom zęby krat/ zerwij kajdany, połam bat/ a mury runa, runa, runa/ i pogrzebią stary świat”). Zanim rozdzieliła ich wojna polsko-jaruzelska (Kaczmarskiego stan wojenny zastał we Francji, Gintrowski i Łapiński przebywali w Polsce) stworzyli trzy znakomite programy poetyckie: *Mury*, *Raj* i *Muzeum*. Autorem większości tekstów był Kaczmarski, ale nie brakowało też w nich wierszy innych poetów, przede wszystkim Herberta, ale także Sieniawskiego, Natana Tennenbauma czy Mieczysława Jastruna. Muzykę do tych tekstów pisała cała trójka, śpiewali przede wszystkim Kaczmarski z Gintrowskim, a jedynie od czasu do czasu jakąś zwrotkę wykonywał Łapiński.

Uczestnictwo w trio było z pewnością dźwignią kariery Gintrowskiego. W stanie wojennym kontynuował on podziemne śpiewanie utworów stworzonych wspólnie z Jackiem i Zbyskiem, ale pisał też muzykę do wierszy innych poetów (programy *Pamiętki* i *Kamienie*). Okazało się także, że muzyczna wyobraźnia Przemka nie ogranicza się jedynie do komponowania piosenek, ale pozwala mu także tworzyć muzykę filmową. Do najważniejszych dokonań Gintrowskiego na tym polu należą kompozycje do *Matki Królów* i kultowego serialu TVP *Zmiennicy*. Przyznając szczerze, że o ile brzmienie Przemkowych

syntezatorów na ścieżce do *Zmienników* nie budzi moich oporów, to jednak w wypadku filmu Janusza Zaorskiego wywołuje mieszane odczucia – generalnie wygląda tak, jakby zabrakło kasy na orkiestrę i z oszczędności skorzystano z dema nagranych przez kompozytora.



W III RP Gintrowski nadal był aktywny. Po powrocie Kaczmarskiego z wygnania występował wspólnie z byłymi kolegami, nagrywając wspomnieniowy recital *Mury w Muzeum Raju* oraz współtworząc zupełnie nowy program *Wojna postu z karnawałem* (genialnie interpretując piosenkę pt. *Ja*). Jednak z czasem coraz mniej łączyło go z Jackiem i ostatecznie porzucił trio (co złośliwie skomentował w jednym ze swoich tekstów Kaczmarski).

Wydaje się, że o rozstaniu kolegów zadecydowało nie tylko to, że Gintrowski przestał się starać, ale także różne postrzeżenia przemian, które następowały w Polsce po roku 1990. Kaczmarski odnalazł się w kręgu pookragłostołowej władzy i dobrze się w nim czuł. Z afirmacją traktował to, co działo się w nowej Polsce i nawet przyjął medal z rąk Kwaśniewskiego za działalność w ZSP (organizacji studenckiej kolaborującej przed 1989 rokiem z PZPR), do którego ponoć nie należał. Gintrowski przeciwnie – krytycznie oceniał efekty transformacji ustrojowej, dostzegając różne jej niesprawiedliwości, z uwłaszaniem nomenklatury i esbeckiej agentury na czele. Ta – *nomen omen* herbertowska – postawa Przemka sprawiła, że w ostatnich latach stał się twórcą zamilczanym w oficjalnym obiegu medialnym.

Jego nieobecność wzmogła się jeszcze po 10.IV.2010 r., gdyż krytycznie wyrażał się o tym, jak rzeczywiście państwo polskie „zdało egzamin” po katastrofie smoleńskiej. (Inna sprawa, że poezja śpiewana w ogóle jest słabo obecna w mediach, które wołają promować albo biuściaste wokalistki w mini i namiastce stringów, albo „jasełkowych satanistów”, ewentualnie wojownicze ateistki z awarią intelektu). Właściwie jedynym sposobem, aby usłyszeć dziś legalnie Gintrowskiego, jest trafienie na kolejną powtórkę *Zmienników*, z których na szczęście nikt się na razie nie odważył wyciąć tytułowej piosenki. To złośliwy komentarz, ale żyjemy w takich czasach, że kto wie, czy nasze rodzime ministerstwo prawdy nie zacznie w ten sposób ulepszać naszej historii. Jedynym miejscem, gdzie do woli można się nasycić piosenkami Gintrowskiego, jest YT, choć to akurat źródło cokolwiek zatrute (swoją drogą: znalazłem tam nagrania programów TV, których istnienia nie byłem nawet świadom, mimo że uważam się za fana Jacka i Przemka).

Aż prosi się, aby pożegnać wielkiego pieśniarza którymś z jego „przebojów”, ale tak naprawdę nie wiem, który z nich w tej roli byłby najlepszy. Z jednej bowiem strony jest humorystyczna piosenka ze *Zmienników*, z wyrazistym końcowym „coś być musi do cholery za zakrętem”, a z drugiej – przejmująca finałowa pieśń z programu *Raj* pt. *Powrót* z optymistyczną *summą*: „jestem w Raju/ żaden tłum nie dotarł nigdy na mój szczyt”. Z Hebertianików wciąż się po głowie mi tłucze genialny *Prolog*, w którym pojawiają się takie frazy, jak: „płynę pod prąd a oni ze mną/ [...] muszę ich zawieźć w suche miejsce/ i kopczyk z piachu zrobić duży” oraz „rów w którym płynie mętna rzeka/ nazywam Wisłą. Ciężko wyznać:/ na taką miłość nas skazali/ taką przebodli nad ojczyzną”. Z wierszy Kaczmarskiego dwa szczególnie głęboko zapadły mi w pamięć: wstrząsające zarówno w warstwie opisowej jak i metaforycznej *A my nie chcemy uciekać stąd* ze szczególnie bliskim Gintrowskiemu przesłaniem: „A my nie chcemy uciekać stąd/ krzyczymy w szale wściekłości i pokory/ staną w ogniu nasz wielki dom/ dom dla psychicznie i nerwowo chorych” oraz jeden z moich najbardziej

ulubionych tekstów Kaczmarza w wykonaniu Przemka – *Karzeł*, kończący się, jak często u tego poety, obrazem apokalipsy: „Tej księgi do końca już czytać nie muszę./ Zginiemy, a nasze pałace się zwałą./ Dojrzyjcie wśród ruin skarłałą mą duszę –/ Jak mnie niepozornych nie żegna się z żalem”. Tę wylizankę mógłbym jeszcze długo kontynuować, ale nie będę Was zanudzał. Poszukajcie sami w sieci lub w TV (bo podobno jednak jakieś wspomnieniowe programy o Gintrowskim się w niej pojawiają po godzinie duchów) jego piosenek, bo naprawdę warto. Może niewiele jest w nich elementów fantastyki, ale gwarantuję Wam estetyczne przeżycia najwyższej próby.



Na zakończenie jeszcze taka krótka refleksja. Odejście Przemysława Gintrowskiego jeden z *dzienników* skwitował tytułem *Koniec gniewnej pieśni*. Ponieważ od dziesiątego kwietnia programowo nie kupuję i nie czytam tej gazety, nie wiem, co też autor artykułu tam naskrobał, ale że tytuł jest bez sensu, nie mam wątpliwości. Przecież nawet jeden z ulubionych poetów środowiska z nią związanego napisał kiedyś: „Który skrzywdziłeś człowieka prostego/ [...] Nie bądź bezpieczny. Poeta pamięta/ Możesz go zabić – narodzi się nowy/ Spisane będą czyny

i rozmowy". Gniewna pieśń będzie więc trwała niezależnie od tego, ilu umrze pieśniarzy podobnych Gintrowskiemu, ale jak długo będą krzywdzeni prości ludzie. Czyli – biorąc pod

uwagę, w jakim kierunku rozwija się nasza rzeczywistość – jeszcze długo. I w tych niewesołych okolicznościach – ta jest akurat najsmutniejsza.

Wasz wielkokacki korespondent

prawem kaduka – czyli naczelnego

Pozwolę sobie dopisać kilka słów do „Okruchów” Grzegorza. Trio Kaczmarek-Gintrowski-Łapiński odkryłem w okresie „karnawału Solidarności”. Najpierw był skromny teledysk z „Obławą”, potem opolski Kabaret z wstrząsającym „Epitafium dla Wysockiego” i kilkoma innymi utworami, różne migawki w telewizji oraz legalnie wydana kasetka „Mury” (bez dwóch najbardziej pesymistycznych piosenek wyciętych przez cenzurę: „Encore, jeszcze raz” w wykonaniu Jacka i „Przyjaciele, których nie miałem” w wykonaniu Przemka). Notabene dzięki niej właśnie odkryłem poezję Herberta – jak pewnie wielu moich rówieśników. W początkach stanu wojennego byłem z przyjaciółmi ze studiów w gdańskim Żaku (wtedy nad kinem Leningrad przy Długiej) na koncercie Gintrowskiego i Łapińskiego dedykowanym „nieobecny przyjacielom” (w domyśle: „przyjacielowi”). Wtedy po raz pierwszy usłyszałem m.in. „Autoportret Witkacego”; dość surrealne przeżycie: gdzieś tam na ulicach patroli ZOMO, a tu takty „Wielkiej Ojczyźnianej” przywołane w kontekście 17 września... W innej już epoce, w sali widowiskowej gdańskiego NOT-u, usłyszałem całą trójkę podczas trasy koncertowej „Wojny postu z karnawałem”. I muszę przyznać, że (jak i wcześniej) do niektórych utworów idealnie pasował stalowy głos Kaczmarek, do innych – ciężka chrypa Gintrowskiego. Dlatego rozpad tria odebrałem z żalem; chodziły zresztą słuchy, że – po latach drugiego (dobrowolnego tym razem) rozstania – panowie znów chcieli stworzyć coś wspólnie. Ale jest to możliwe już nie na tym świecie...

Wasz wejherowski redaktor

**Patrząc z ukosa
(16)**



Wersja nieoficjalna

Do tej pory starałem się omijać szerokim łukiem teorie spiskowe, chyba że wiązały się one bezpośrednio z omawianymi schrödingerskimi wirtualiami. Jednak ostatnio obejrzałem na DVD film *Iron Sky*, który skłonił mnie do zmiany podejścia. Nie chodzi o sam film (który urzekł mnie swoją brawurą i celnymi złośliwościami), lecz o to, że w dodatku na płycie usłyszałem znamienne zdanie: *Wiele osób naprawdę wierzy w to, że naziści polecili na Księżyc i ukryli się po jego ciemnej stronie, planując wielki powrót*. Postanowiłem skonfrontować tę wypowiedź z moimi lekturami, by następnie podzielić się z Czytelnikami stosownie ambiwalentnymi wnioskami.

Rozpoczne od artykułu *Ukryta strona historii* (cz. 1), wydrukowanego w ostatnim numerze *Nexusa* (5/2012). Jest to zapis wywiadu wydawcy niemieckiej edycji tego pisma, Thomasa Kirschnera, z Douglasem Dietrichem (www.douglasdietrich.com), który przez 10 lat pracował w bazie wojskowej Presidio w San Francisco jako bibliotekarz. Będąc synem podoficera Marynarki Wojennej USA miał przepustkę do bazy, co pozwoliło mu rozpocząć tę pracę już w wieku 16 lat. Do jego obowiązków należało później palenie ściśle tajnych dokumentów dotyczących najnowszej historii; jednak Dietrich najpierw je studiował, a po powrocie do domu zapisywał wszystko, co zapamiętał. A trzeba powiedzieć, że podłączał się do tajnej wiedzy u samego źródła, gdyż baza Presidio była miejscem, gdzie *trzy tygodnie i trzy dni po japońskim ataku na Pearl Harbor* (czyli na przełomie 1941 i 1942 r.) narodziła się Organizacja Narodów Zjednoczonych, założona przez pięć państw tworzących obecny stały skład Rady Bezpieczeństwa. Wersja ta różni się nieco od oficjalnej, która głosi, że w podanym czasie 26 państw podpisało Deklarację Narodów Zjednoczonych, natomiast zdecydowany zgrzyt stanowi militarny rodowód organizacji uchodzącej za pokojową, która swoje oficjalne narodziny datuje na dzień 26.VI.1945 r., kiedy to odbyła się konferencja założycielska w San Francisco. Dietrich podaje, że baza Presidio pozostała *Pentagonem ONZ* aż do 1946 roku, a później przez wiele lat była centrum, do którego spływały różne niewygodne dokumenty.



DOUGLAS DUANE DIETRICH

Artykuł stawia na głowie całą najnowszą historię. Dla przykładu Franklin Delano Roosevelt (1882-1945) został przedstawiony jako szaleniec dążący do *wojny totalnej*, w tym przede wszystkim podboju Imperium Brytyjskiego (*War Plan Red*) i Kanady (*War Plan Crimson*). Brytyjczycy, zagrożeni z dwóch stron, oddali Rooseveltowi swój najbardziej intratny interes, czyli handel opium w Chinach. W ten sposób Amerykanie weszli w strefę wpływów Japonii, co stało się bezpośrednią przyczyną ataku na Pearl Harbor (a według Dietricha – wręcz wybuchu II wojny światowej). Wcześniej jednak premierem Wielkiej Brytanii został Winston Churchill, a to głównie z tej przyczyny, że jego matka była Amerykanką. *Dzięki temu* – opowiada Dietrich – *zdołał podejść i wmanewrować szaleńca Roosevelta w wojnę z Niemcami zamiast z Wielką Brytanią*. I rzeczywiście, w sierpniu 1941 r. Wielka Brytania i USA podpisały Kartę Atlantyczną, którą w świetle powyższego można śmiało uznać za pakt o nieagresji.

Przejdźmy jednak do Hitlera i III Rzeszy. Wszyscy myślą, że Niemcy byli blisko skonstruowania bomby atomowej, lecz po prostu nie zdążyli. Dietrich twierdzi, że to ostatnie nie jest prawdą. Otóż w jednym z przeczytanych przez niego dokumentów generał SS Jakob Sporrenberg opowiada o swoim udziale w rozwoju broni atomowej i rozmieszczeniu jej w Kurlandii (Estonia). To ostatnie miało miejsce w październiku 1944 r. i spowodowało zatrzymanie Armii Czerwonej na czas potrzebny do ewakuacji cywilów w ramach tzw. *Operacji Hannibal*. Nikt chyba nie myśli, że Sowieci można było powstrzymać przy pomocy deklaracji słownej lub nawet wiarygodnych danych wywiadu. Z całą pewnością konieczna była praktyczna demonstracja, czyli detonacja bomby A, co pośrednio potwierdza Dietrich (patrz niżej). Prawdopodobnie nie musieli już tego powtarzać Japończycy na Półwyspie Koreańskim, kiedy 12.VIII.1945 r. w celu zatrzymania Rosjan stworzyli tam istniejącą do dziś „strefę zdemilitaryzowaną”.

Skoro Niemcy (a potem Japończycy) mieli broń atomową już pod koniec 1944 r., to dlaczego nie użyli jej do pokonania Aliantów? Dietrich tłumaczy to następująco:

Hitler miał obsesję na punkcie biologicznych analogii. Postrzegał wojnę przeciwko partyzantce jako proces szczepienia. Użył tej analogii wielokrotnie. Kiedy poznał prawdziwy charakter broni atomowej, doszedł do wniosku, że używanie tych bomb na kontynencie europejskim stanowiłoby zagrożenie dla genetycznej żywotności rasy aryjskiej. Przysiągł, że bez względu na to, co się stanie, nigdy ponownie nie użyje jej na kontynencie europejskim (podkreślenie moje).

Nie miał jednak oporów, by użyć tej broni przeciwko USA. Otóż w kwietniu 1945 roku admirał Karl Dönitz (późniejszy Führer III Rzeszy) wysłał *Wilcze Stado Fenris* składające się z sześciu *über U-Bootów* wyposażonych w duże rakiety z głowicami nuklearnymi. Władze USA, ostrzeżone przez wywiad brytyjski, uprzedziły ludność o możliwości ataku atomowym na Wschodnie Wybrzeże, zaś Marynarka po dziewięciu dniach tropienia zlikwidowała zagrożenie. Tym niemniej Hitler udowodnił, że mógłby przeprowadzić atak nuklearny na Stany Zjednoczone, czyniąc prawdopodobnym scenariusz opisany w *Człowieku z Wysokiego Zamku*.

Jak widać III Rzesza była w stanie do końca negocjować z pozycji siły, nigdy więc (w przeciwieństwie do wersji oficjalnej) nie skapitulowała, a Niemcy otrzymali od Stanów Zjednoczonych odszkodowania wojenne. Po śmierci Hitlera (a wcześniej Roosevelta) jej struktury władzy przeniosły się za wiedzą i zgodą USA do Argentyny, tworząc rząd na emigracji. Stamtąd rząd przeniósł się na Antarktydę (którą naziści interesowali się przynajmniej od ekspedycji z 1938-39r.), aby w końcu zasiedlić tzw. *Unterland*. O charakterze tego ostatniego miejsca Dietrich milczy, ja natomiast spróbuję pospekulować na ten temat poniżej, opierając się na innym źródle.

Po zakończeniu wojny w Europie tysiące nazistowskich naukowców przymusowo zmieniły miejsce pobytu na USA bądź ZSRR, lecz spośród nich na widok publiczny wystawiono bodajże tylko Wernhera von Brauna. W tym czasie Stany Zjednoczone pozyskały też część niemieckiego arsenału nuklearnego. Bomba *Little Boy* zrzucona na Hiroszimę była produkcyjnie niemieckiej i należała do serii atomówek, które pasowały wymiarami do ładowni niemieckich bombowców, były więc przystosowane do misji samobójczych. Przeprowadzona przez Amerykanów demonstracja siły uświadomiła Japończykom, że utracili przewagę militarną, co pozwoliło zakończyć wojnę.

Wróćmy jednak do Antarktydy. Już w 1946 r. Stany Zjednoczone wysłały w stronę tego kontynentu sporą flotyllę pod dowództwem admirała Byrda w ramach *Operacji Highjump* (13 okrętów – w tym lotniskowiec, okręt podwodny i kilka niszczycieli ze śmigłowcami, 4700 ludzi załogi), pod absurdalnym pretekstem zbadania możliwości inwazji Rosjan z tego kierunku. Nieoficjalnym zaś powodem było szukanie śladów nazistowskiej obecności w regionie. Wyprawa była zaopatrzona na 8 miesięcy, trwała jednak tylko 16 tygodni. Dlaczego? Byrd mówił podobno, że Stany Zjednoczone powinny się przygotować do walki z samolotami, które mogą przelecieć od bieguna do bieguna z niezwykłą prędkością, prawdopodobnie więc Amerykanie zostali pokonani w jakimś powietrznym starciu. Tym niemniej w tymże roku USA założyły wielką antarktyczną bazę McMurdo. O ile się orientuję, także Brytyjczycy zorganizowali aż dwie ekspedycje antarktyczne tuż po wojnie, zamiast skierować wszystkie siły na odbudowę gospodarki, która według Dietricha była w gorszym stanie niż niemiecka. Zaś w 1959 roku zawarto międzynarodowy układ w sprawie Antarktydy, w którym ogłoszono ją strefą neutralną

i zdemilitaryzowaną. Wszystko to razem może nic nie znaczyć, ale daje do myślenia. Zwłaszcza w świetle następnego opowiesci.

Chodzi o artykuł *Wyznania wolnomularza wysokiego stopnia* Jana van Helsinga (właściwie Jana Udo Holeyę), zamieszczony w *Nexusie* 4/2012 i będący wyborem fragmentów jego książki *Tajne stowarzyszenia 3 - Wojna wolnomularzy*. Jak wskazuje tytuł – jest to wywiad z pewnym anonimowym masonem, jednakże interesujący nas fragment ma inny charakter, gdyż Jan van Helsing cytuje w nim list, który otrzymał od *bliskiego przyjaciela Matthiasa S.* Ten z kolei przytacza opowieść człowieka, którego w kwietniu 2003 roku spotkał w Schwarzwaldzie i następnie gościł u siebie przez trzy dni. Był to niejaki Schmitt, agent niemieckiego kontrwywiadu wojskowego MAD (Militärischer Abschirmdienst), który *za szczególne zasługi został przydzielony do zadań specjalnych na Antarktydzie. Jego zadaniem było strzec granicy lodowej pustyni. (...) Absurd tej sytuacji uświadomił sobie już po kilku dniach: człowiek wyposażony w najnowocześniejszą broń ma strzec samowolnie wytyczonych granic wśród niezamieszkałych i nieprzyjaznych krajobrazów lodowcowych Antarktydy! Kazali mu strzelać do wszystkiego, co się pojawi lub co będzie chciało opuścić to terytorium.* Krótko mówiąc – po paru tygodniach służby w bezludnej pustce Schmitt złamał surowy zakaz przekraczania granicy i wybrał się sprawdzić, czego właściwie strzeże. Oto jego relacja.



Po wielu godzinach (...) odkrył pojawiające się ukośnie na horyzoncie i znikające obiekty latające. Najwyraźniej znajdowało się tam ogromne zagłębienie terenu! (...) Ponadto mógł zaobserwować ożywiony ruch od i do zagłębienia, a więc wlatujące i wylatujące stamtąd obiekty! Obiekty te miały różnorodne kształty i kolory. Niektóre nawet samoistnie świeciły. Były wśród nich takie w kształcie spodka, ale także coś na kształt ogromnego cygara. Wszystkie poruszały się prawie bezgłośnie i stosunkowo szybko. (...) Wtedy zdał sobie sprawę, że nie ma go już od wielu godzin i na pewno jest poszukiwany.

Nagle zbliżył się do niego latający spodek i wylądował bezpośrednio przed nim! Obiekt ten miał około 30 metrów średnicy i opatrzone był militarnymi napisami z okresu Trzeciej Rzeszy! Mowę mu odjęto. Luk otworzył się i ukazał się w nim mężczyzna w niemieckim mundurze. Był wysoki, a jego charyzmatyczny wygląd zdradzał silną osobowość. Zwrócił się do niego doskonałym niemieckim: „Dzień dobry, panie Schmitt. Wie pan, że znajduje się na zakazanym terenie! Grupy poszukiwawcze są w drodze, żeby pana odnaleźć. Ja proponuję Panu możliwość pójścia ze mną. Oznacza to, że porzuci pan swoje dotychczasowe życie i nie będzie mógł do niego wrócić. Pozna pan życie, którego nie można sobie wyobrazić. Zależy to tylko od pana, czy poleci pan ze mną.” Człowiek z kontrwywiadu był zdumiony. Niemiecki oficer zwrócił się do niego po nazwisku!



Schmitt był zdezorientowany. Usłyszał propozycję jeszcze raz i w końcu odmówił, a niemiecki oficer odleciał. Agent zawrócił i już po kilku minutach został zatrzymany przez ludzi z kontrwywiadu. Był przesłuchiwany najpierw w Stanach Zjednoczonych, a następnie w Niemczech. Obawiając się o swoje życie wykorzystał

profesjonalne umiejętności, by uciec, a także zabrać ze sobą trochę interesujących nas materiałów – ale do tego wróć za chwilę. A co na to powiedział anonimowy mason, z którym Jan van Helsing przeprowadzał wywiad? Otóż przytoczył podobną, choć mniej efektowną historię, której bohaterem był znany alpinista Reinhold Messner. Podczas publicznego wykładu opisywał on swoją wyprawę na Antarktydę, podczas której natknął się na *zamknięty teren wojskowy wśród lodu strzeżony przez uzbrojone po zęby wojsko*; po czym, mimo posiadania zezwoleń, musiał stracić kilka dni na okrażenie feralnej strefy.

Wróćmy do tajemniczego zagłębienia w ziemi widzianego z daleka przez *agenta Schmitta*. Artykuł zawiera jego wypowiedź na temat podkradzionych materiałów: dotyczyły one zarówno kontaktów z istotami pozaziemskimi, jak i teorii wydrążonej Ziemi. Oba tematy najwyraźniej należały do obsesji nazistów, o czym mówią różne opracowania (np. *Szatan i swastyka* Francisa Kinga). Czyżby więc w okolicach biegunów rzeczywiście istniały otwory prowadzące w głąb Ziemi, jak twierdził John Symmes, a spopularyzował Jules Verne? Sytuację komplikuje fakt, że w istocie rzeczy naziści wierzyli w inną wersję tej teorii, propagowaną przez przyjaciela Goeringa Petera Bendersa, który twierdził, że wszystko jest na odwrót i żyjemy WEWNĄTRZ skalnej kuli. Jest to prawdopodobnie związane z tym, że obaj panowie byli lotnikami, a z lotu ptaka Ziemia wygląda jak wklęsła misa (horyzont na poziomie oczu, a w dole przepaść). Wiadomo, że naziści brali ten koncept zupełnie serio, bo przeprowadzili serię doświadczeń z udziałem radaru, które miały to potwierdzić. Z drugiej strony są poszlaki, że III Rzesza miała kontakty z istotami pozaziemskimi (np. Hitler stwierdził kiedyś, że spotkał nadczłowieka). Jeśli połączyć obie te rzeczy – robi się ciekawie: owe obce istoty musiały dotrzeć do nas spod ziemi, z innej pustej kuli we Wszechskale. Zupełnie skądinąd wiadomo zaś, że spod ziemi przychodzą do nas Reptilianie, uważani za siewców niezgody żywiących się naszymi negatywnymi emocjami. Niektórzy zaś twierdzą, że to oni właśnie (lub też jakaś inna pozaziemska rasa) są inspiratorami nazistowskiej ideologii eksterminacji.

Co na to wszystko nasz agent spotkany w Schwarzwaldzie? Otóż znalazł się on tam nieprzypadkowo, bo właśnie w tym rejonie jest podobno jedno z wejść do wnętrza Ziemi. I chyba udało mu się je znaleźć, gdyż po trzech latach zadzwonił do autora listu z wiadomością, że wie dzie mu się dobrze i jest w bezpiecznym miejscu. Co pokazuje, że ONI widzą nas doskonale, a w każdym razie znacznie lepiej, niż my ich.

To, co napisałem powyżej, z trudem czytam ponownie, bo wygląda na totalną paranoję. Godzi się jednak przypomnieć, że istnieją niezliczone opowieści o istotach mieszkających pod ziemią, z mitem o Agharcie na czele, czym chciałbym zakończyć definitywnie wątek *Unterlandu*.

Jeśli zaś chodzi o latające spodki w nazistowskim sosie, polecam film *Hitlerowskie UFO (Nazi UFO Conspiracy)* z 2008 r., który można obejrzeć na kanale *Discovery World*. Występuje w nim m. in. Polak, Igor Witkowski, który jako pierwszy wpadł na trop nazistowskiego projektu *Die Glocke (Dzwon)*, o którym za chwilę.



Pod koniec wojny Niemcy interesowali się przede wszystkim pionowym startem z uwagi na naloty aliantów. Pracował nad nim Alexander Lippisch, który w ramach *Operacji Paperclip* trafił do bazy White Sands w Nowym Meksyku. Testowano tam także *latające skrzydło* H-9 braci Horten, które stało się prawdopodobnie

prototypem bombowca B-52, a następnie B-2. Istnieje uzasadnione podejrzenie, że to właśnie eskadrę latających skrzydeł widział w 1947 roku Kenneth Arnold podczas pierwszej zanotowanej obserwacji UFO. Niemcy opracowywali też inne pojazdy ufopodobne, w tym dysk Viktora Schaubergera (którego dokumentację przejęli Amerykanie) oraz wspomniany powyżej Dzwon, którego dalsze losy są jedynie przedmiotem hipotez.

Igor Witkowski twierdzi na podstawie rozmów z oficerem polskiego wywiadu, który miał dostęp do niemieckich tajnych dokumentów z czasów wojny, że pojazd w kształcie dzwonu z ceramiczną warstwą zewnętrzną był testowany w kompleksie *Riese* położonym w Górach Sowich. Konstrukcja stała w basenie z wodą (obok) wyłożonym ceramicznymi płytkami. Sam Dzwon miał wymiary 2,7 x 4,5 m, a wewnątrz miał dwa cylindry zawierające substancję podobną do rtęci (zwaną *Xerum 525*). Cylindry te rotowały w przeciwnych kierunkach, co miało wywoływać efekt antygravitacji, a przy okazji generowało zabójcze promieniowanie (stąd prawdopodobnie ta ceramika).



W 1944 r. kierownictwo nad tajnym niemieckim programem badawczym przejął generał SS dr Hans Kammler (który włączył się m. in. zniszczeniem warszawskiego getta). W kwietniu 1945 r. Hitler nakazał mu likwidację wszystkich, którzy wiedzieli cokolwiek o projekcie Dzwon, w tym 62 naukowców. Ten wywiązał się doskonale z powierzonego zadania, wysadzając wejścia do podziemnego kompleksu i grzebiąc w nim wszystkich obecnych. Wygląda jednak na to, że dokumentację zachował dla siebie. Otóż, według słów Alberta Speera, Kammler mówił mu o planach przekazania wyników badań Aliantom w zamian za wolność. Być może tak się stało, być może nie. Faktem jest, że zniknął zarówno on, jak i będący w jego dyspozycji sześciosilnikowy samolot o zasięgu prawie 10 tys. km. Dokąd poleciał – nie wiadomo; jeśliby jednak wziąć pod uwagę jedno międzyglądowanie (gdzie?), mógł dotrzeć nawet do Argentyny.



Pewne światło na dalsze losy projektu Dzwon rzuca incydent, który zdarzył się 9.XII.1965 r. w lasku koło Kecksburga (Pensylwania). Spadł tam metalowy obiekt koloru miedzi i kształtu dzwonu (lub żołędzia) o wymiarach 3-4 x 4-5 m. Został on wywieziony przez wojsko, prawdopodobnie do bazy Wright-Patterson, gdzie wypatrzył go kierowca ciężarówki dostawczej. A zamówienie, które finalizował, też daje do myślenia: było to 6500 podwójnie glazurowanych ceramicznych cegieł.

Inną wspólną cechą obiektu z Kecksburga i Dzwonu, widoczną na zdjęciach ich modeli (powyżej), są dziwne znaki widoczne na dolnych pierścieniach. Uważa się je zwykle za symbole okultystyczne powiązane z ideologią III Rzeszy, ale cóż – ich rekonstrukcja jest bez wątpienia powierzchowna.

Dodatkowym smaczkim jest to, że szczątki pozostałe po katastrofie pod Roswell również zaopatrzone były w różne dziwne znaki, o czym mówili ci, którzy je widzieli. Czy takie same – trudno wyrokować. Z drugiej strony jest przynajmniej jedna relacja ze spotkania z UFO w USA, po którym świadkowie zapadli na chorobę popromienną. Jeśli dodać do tego fakt, że UFO najczęściej obserwowano w pobliżu baz wojskowych (zwłaszcza tych, w których pracowali niemieccy naukowcy), można odnieść wrażenie, że Amerykanie pospółu z byłymi nazistami kontynuowali projekt *Die Glocke*. Czyżby więc domniemani kosmici stanowili zasłonę dymną dla kontynuacji nazistowskich projektów badawczych? W każdym razie CIA przyznała się w 1997 roku do udziału w akcji dezinformacyjnej za pomocą UFO, stanowiącej pomysł niewątpliwie genialny, bo mający społeczeństwo inną, jeszcze bardziej intrygującą tajemnicą.

Z drugiej strony odnotujemy, że UFO jest obserwowane równie często w Ameryce Południowej, co Północnej, co kieruje naszą uwagę w stronę nazistów z Argentyny czy też Antarktydy. Wygląda to trochę tak, jakby Niemcy dali Amerykanom byle co, całą śmietankę zachowując dla siebie. Czy to przypadek, że najwcześniej obserwowanych załogantów tych pojazdów określa się mianem Nordyków? Moim skromnym zdaniem (popartym przez większość artykułów tego cyklu) prawda jest daleko bardziej złożona, a koncept *Nazi UFO* wydaje się być jedynie jej drobnym komponentem.

Czy zakładając, że naziści po wojnie rzeczywiście zbudowali latające spodki, możemy wnioskować, że dotarli na Księżyc? Jeśli napęd tych pojazdów wykorzystuje antygravitację, to pewnie mogli. Przypomnijmy sobie historię Ingo Swanna (odc. 6, *Informator* 272), który teleobserwował sztuczne i zaludnione obiekty na Księżycu na prośbę tajemniczego *pana Axelroda*. Jest też jakiś powód, dla którego nie latamy już na naszego (?) satelitę. Gdybym jednak miał głosować, postawiłbym raczej na Obcych niż nazistów – to zdecydowanie nie ta skala działań (proszę zerknąć np. na moją stronę internetową pod adresem matematyka.ukw.edu.pl/ap/ksiezyc_objekty.html). Po drugie i najważniejsze: nawet niegościnna Antarktyda jest znacznie lepszym miejscem do życia niż Księżyc, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę mistrzostwo nazistów w budowie podziemnych baz.



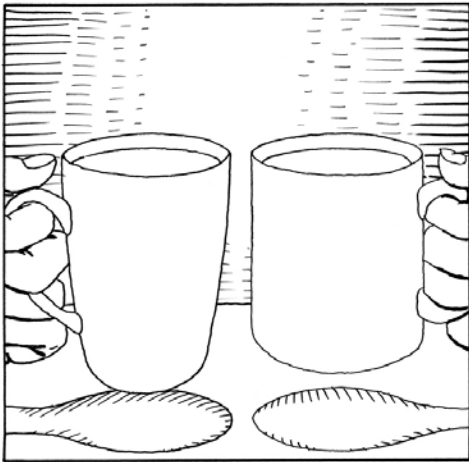
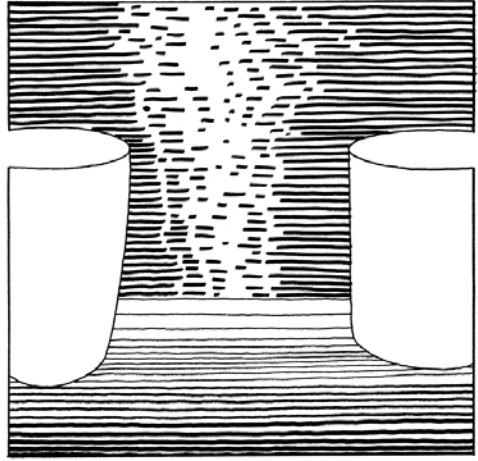
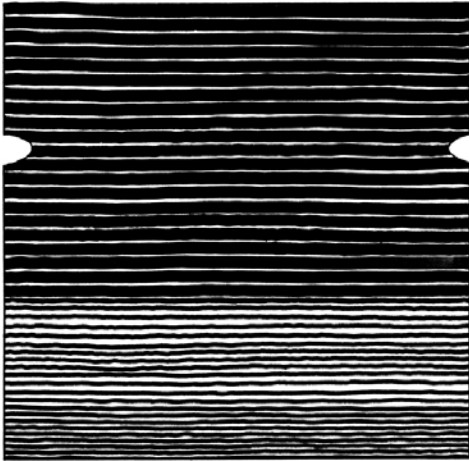
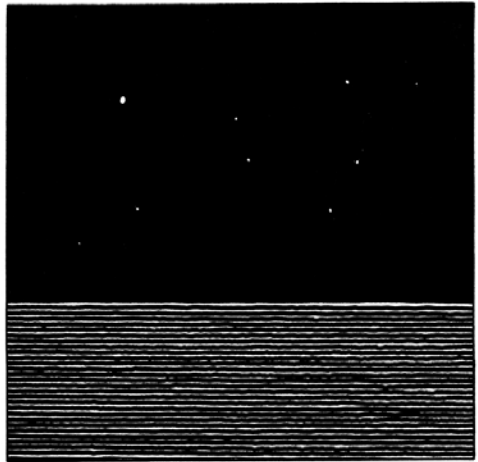
Jak widzicie – starałem się podejść śmiertelnie serio do śmieszających wielu ludzi konceptów związanych z nazistami. Wygląda na to, że coś jest na rzeczy; ale co – niech już każdy sam rozstrzygnie... A już zwłaszcza pytanie, kto pierwszy stanął na Księżycu: Neil Armstrong czy bezimienny Niemiec? Najpierw jednak radzę zażyć coś przeciw bólowi głowy.

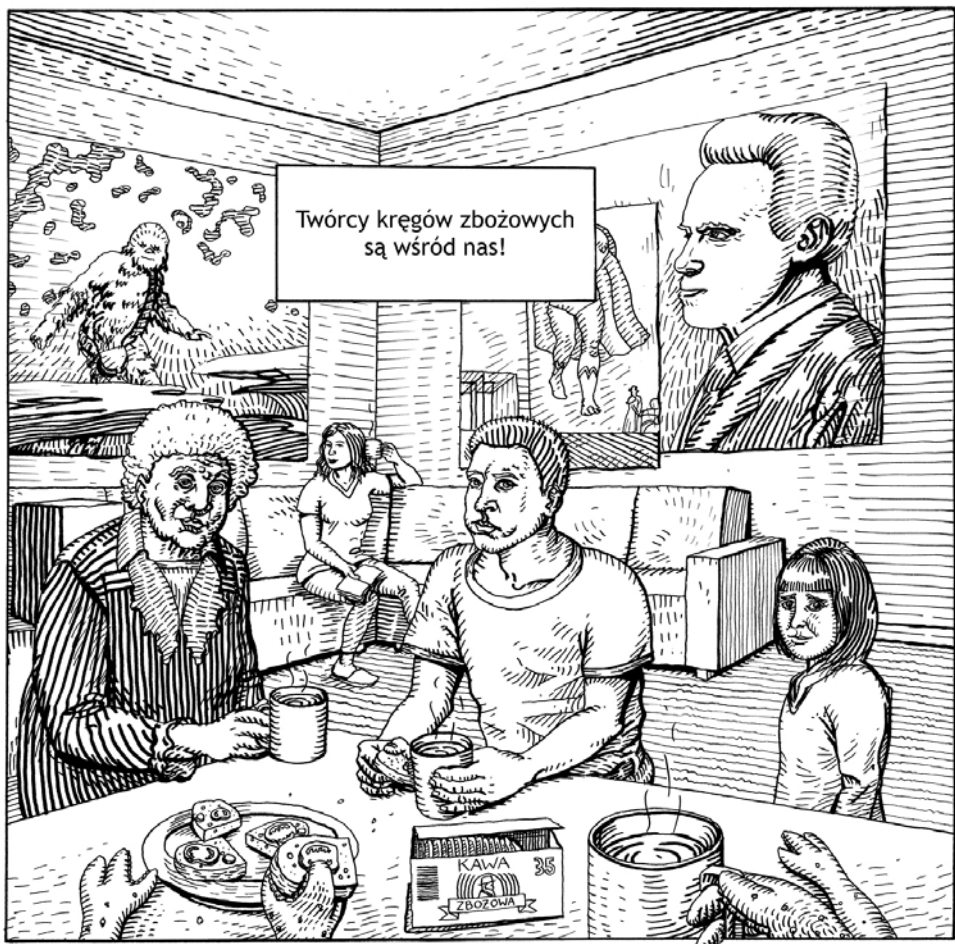
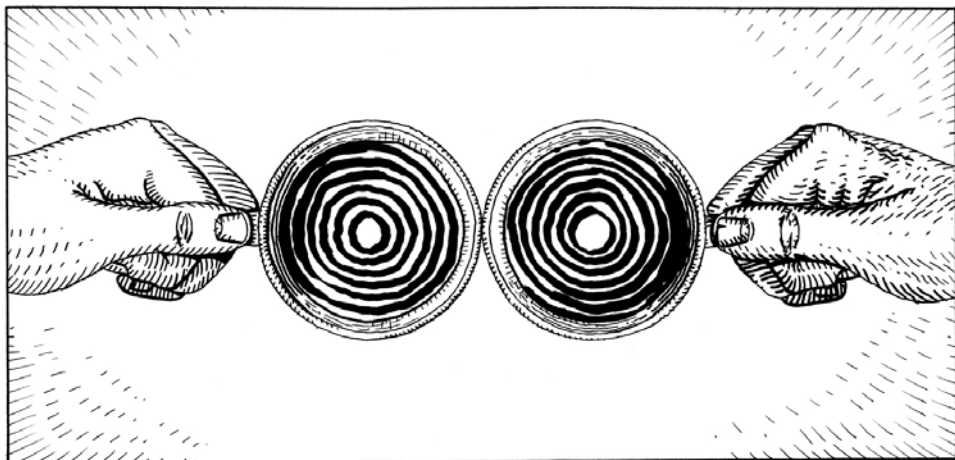
Andrzej Prószyński

<http://matematyka.ukw.edu.pl/ap/inny.html>



Tomasz Mering 2012



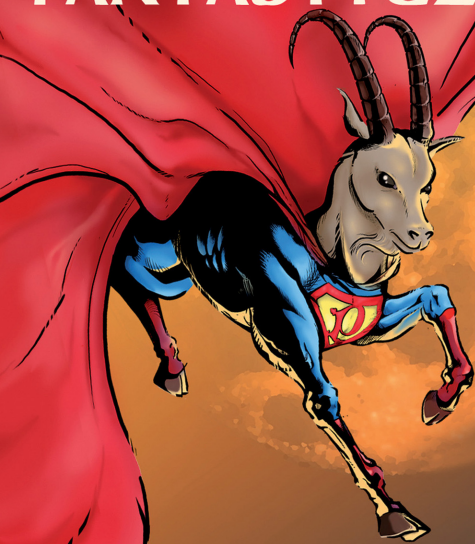


FESTIWAL FANTASTYKI

PYRKON

22-24 marca 2013

FANTASTYCZNA PRZESTRZEŃ



STOISKA TARGOWE

GRY PLANSZOWE

KONCERTY I WYSTAWY

ŚWIATOWEJ SŁAWY GOŚCIE

KSIĄŻKA, KOMIKS, FILM

GRY KOMPUTEROWE



WWW.PYRKON.PL